



LOS SMOKÓW

KSIĘGA 3 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE

Morgan Rice

Los Smoków

Серия «Кругу Чарноксієжніка», книга 3

Аннотация

LOS SMOKÓW (KSIEGA 3 KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA) ukazuje kolejne przygody Thora w jego heroicznej podróży, dzięki której staje się wojownikiem. Pokonuje Morze Ognia i dociera do Smoczej Wyspy Mgieł, miejsca bezlitosnego, będącego domem najlepszych wojowników na świecie. Moce i umiejętności Thora rosną z każdym dniem spędzonym na ćwiczeniach. Jego przyjaźnie pogłębiają się z każdą, wspólnie pokonaną przeciwnością. Kiedy jednak staje twarzą w twarz z niewyobrażalnymi potworami, Rytuał bardzo szybko ze zwykłego ćwiczenia przeradza się w walkę na śmierć i życie. Nie wszyscy przeżyją. Sny oraz tajemnicze spotkania z Argonem wciąż go prześladują, ponagłają by próbował dowiedzieć się kim jest, kim jest jego matka i skąd pochodzą jego moce. Jakie jest jego przeznaczenie? W tym czasie w Kręgu sprawy przybierają zły obrót. Kendrick trafia do lochu i to od Gwen zależą jego dalsze losy, ratunek dla Kręgu i obalenie rządów Garetha. Wraz z Godfreyem uparcie szuka wskazówek, które mogłyby doprowadzić ich do zabójcy ojca. Wspólny cel zbliża dwoje rodzeństwa. Jednak z każdym nowym tropem Gwendolyn coraz bardziej zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Ta sprawa może ją przerosnąć. Gareth podejmuje

próbę uniesienia Dynastycznego Miecza i przekonuje się, jak to jest być królem. Upaja się nadużywaniem władzy i rządzi bezlitośnie. Z każdym dniem popada w coraz większe szaleństwo. W miarę jak pętla na szyi zabójcy króla bardziej się zaciska, armia McCloudów zapuszcza się coraz głębiej na terytorium MacGilów. Królewski dwór staje w obliczu wielkiego zagrożenia. Gwen usycha z tęsknoty za Thorem, pragnie jego obecności, rozkwitu ich miłości. Jednak na ich drodze stają potężne siły. Czy kiedykolwiek spełnią się jej pragnienia? Czy Thor przetrwa Rytuał? Czy królewski dwór upadnie? Czy tożsamość mordercy MacGila zostanie ustalona? Czy Gwendolyn i Thor zejdą się ponownie? I czy Thor w końcu pozna tajemnicę swego przeznaczenia?

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	11
ROZDZIAŁ DRUGI	14
ROZDZIAŁ TRZECI	18
ROZDZIAŁ CZWARTY	23
ROZDZIAŁ PIĄTY	33
ROZDZIAŁ SZÓSTY	40
ROZDZIAŁ SIÓDMY	52
ROZDZIAŁ ÓSMY	65
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	71
Конец ознакомительного фрагмента.	79

Los Smoków

(Księga 3 Kręgu Czarnoksiężnika)

Morgan Rice

Przekład: Michał Głuszak

Tytuł oryginału

A FATE OF DRAGONS

O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Swoją renomę zawdzięcza cyklom opowieści pod tytułem THE VAMPIRE JOURNALS – obejmujący jedenaście ksiąg (kolejne w trakcie pisania); THE SURVIVAL TRILOGY – postapokaliptyczny dreszczowiec obejmujący dwie księgi (kolejna w trakcie pisania); KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA – epickie fantasy, obejmujące trzynaście ksiąg (kolejne w trakcie pisania)

Książki jej autorstwa dostępne są w wersjach audio i drukowanej i zostały przetłumaczone na język niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, japoński, chiński, szwedzki, holenderski, turecki, węgierski, czeski oraz słowacki (kolejne wersje językowe w trakcie opracowywania).

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i

darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA zawiera wszystko, co niezbędne, aby odnieść natychmiastowy sukces: fabułę, kontrspisek, tajemnicę, dzielnych rycerzy, rozwijające się bujnie związki uczuciowe i złamane serca, podstęp i zdradę. Zapewni rozrywkę na wiele godzin i zadowoli czytelników w każdym wieku. Zalecana jako stała pozycja w biblioteczkę każdego czytelnika fantasy.

–Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

Rice robi świetną robotę wciągając czytelnika w swoją opowieść od samego jej początku; wykorzystuje doskonałe jakościowo opisy wykraczające poza zwykłą scenerię.... Ładnie napisane i łatwo się czyta.

–Black Lagoon Reviews (komentarz dotyczący Turned)

Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice zrobiła świetną robotę budując niezwykle ciąg zdarzeń... Orzeźwiająca i niepowtarzalna. Skupia się wokół jednej dziewczyny... jednej niezwyklej dziewczyny! Wydarzenia zmieniają się w wyjątkowo szybkim tempie. Łatwo się czyta. Zalecany nadzór rodzicielski.

–The Romance Reviews (komentarz dotyczący Turned)

Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło... To historia o zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu miejsca na nudę.

–Paranormal Romance Guild (komentarz dotyczący Turned)

Kipi akcją, romansem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– vampirebooksite.com (komentarz dotyczący Turned)

Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, którą ciężko odłożyć w nocy. Zakończona tak nieoczekiwanym i spektakularnym akcentem, iż będziesz natychmiast chciał kupić drugą część, tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej.

–The Dallas Examiner (komentarz dotyczący Loved)

Rywal ZMIERZCHU oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Nie będziesz mógł oprzeć się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli jesteś miłośnikiem przygody, romansu i wampirów to ta książka jest właśnie dla ciebie!

–Vampirebooksite.com (komentarz dotyczący Turned)

Morgan Rice udowadnia kolejny już raz, że jest szalenie utalentowaną autorką opowiadań... Jej książki podobają się szerokiemu gronu odbiorców łącznie z młodszymi fanami gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się niespodziewanym akcentem, który pozostawia czytelnika w

szoku.

-The Romance Reviews (komentarz dotyczący Loved)

THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



Książki z cyklu KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA autorstwa Morgan Rice

A QUEST OF HEROES (Book #1) – Wyprawa Bohaterów

A MARCH OF KINGS (Book #2) – Marsz Władców
A FATE OF DRAGONS (Book #3) – Los Smoków
A CRY OF HONOR (Book #4) – Zew Honoru
A VOW OF GLORY (Book #5) – Blask Chwały
A CHARGE OF VALOR (Book #6) – Szarża Walecznych
A RITE OF SWORDS (Book #7) – Rytuał Mieczy
A GRANT OF ARMS (Book #8) – Ofiara Broni
A SKY OF SPELLS (Book #9) – Niebo Zaklęć
A SEA OF SHIELDS (Book #10) – Morze Tarcz
A REIGN OF STEEL (Book #11) – Żelazne Rządy
A LAND OF FIRE (Book #12) – Kraina Ognia
A RULE OF QUEENS (Book #13) – Rządy Królowych
CONTENTS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDYNASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Nie wchodź pomiędzy smoka i gniew jego. –

William Shakespeare

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Król McCloud przypuścił szarżę w dół zbocza i dalej, przez wyżynne tereny Highlands w kierunku części Kręgu należącej do klanu MacGilów. Setki jego ludzi pędziły za nim ile tchu. Podniósł pejcz i ciał po zadzie swego wierzchowca: koń nie potrzebował ponaglenia, po prostu smaganie konia sprawiało przyjemność McCloudowi. Uwielbiał zadawać ból zwierzętom.

Niemal ślinił się na widok tego, co miał przed sobą: idylliczną wioskę MacGilów, jej mężczyzn pracujących w polu, bez żadnej broni, kobiety krzające się przy domostwach, rozwieszające płótna, ledwo odziane z powodu panującego upału. Drzwi domostw były otwarte; kury szwendały się gdzie popadnie, kociołki parowały pełne gotującej się, obiedniej strawy. Pomyślał o zniszczeniach, jakich się dopuści, łupach, które zagarnie, kobietach, które posiadzie – i wielki uśmiech rozkwitł na jego twarzy. Prawie czuł smak krwi, którą miał za chwilę przelać.

Galopowali pokonując coraz większy odcinek drogi, aż w końcu ktoś ich zauważył: wiejski strażnik, żałosna karykatura żołnierza, młodzian dzierżący włócznię, który na dźwięk galopujących koni wstał i odwrócił się w ich kierunku. McCloud doskonale widział białka jego szeroko rozwartych oczu, strach i panikę, które natychmiast pojawiły się na twarzy chłopca. Strzegący tej sennej placówki chłopiec prawdopodobnie nigdy w

zyciu nie widział bitwy. Był całkowicie nieprzygotowany na to, co go za chwilę czekało.

McCloud nie marnował czasu: pierwszą śmierć chciał zadać sam, własnoręcznie, jak zwykle w trakcie każdej bitwy. Jego ludzie dobrze o tym wiedzieli.

Smagnął konia ponownie, aż ten parsknął z bólu i przyspieszył, wychodząc sporo przed szereg swego wojska. McCloud podniósł włócznię swego przodka, ciężką broń wykutą z żelaza, wychylił się i cisnął w powietrze.

Trafił dokładnie do celu, jak zwykle zresztą. Chłopiec nie zdążył jeszcze odwrócić się na dobre, kiedy ostrze przecięło powietrze ze świstem, trafiło go w plecy, przebiło się przez całe ciało i przyszpiliło do drzewa. Z rany trysnęła krew. Tyle wystarczyło, żeby McCloud poczuł zadowolenie.

Wydał z siebie krótki okrzyk radości i kontynuował natarcie na urodzajne ziemie MacGilów, przez pola pełne pożółkłych kolb kukurydzy kiwających się na wietrze, sięgających mu do kolan, wprost do wiejskiej bramy. To było zbyt piękne: wspaniały dzień, cudowne miejsce i tyle okazji do siania spustoszenia.

Wjechali przez niestrzeżoną przez nikogo wiejską bramę, do miejsca, które ktoś bezmyślnie założył na obrzeżach Kręgu, w tak bliskim sąsiedztwie Highlands. Powinni zastanowić się nad tym dwa razy – pomyślał z pogardą McCloud i rzucił toporem w drewniany znak oznajmiający nazwę wsi, rozłupując go na dwoje. I tak wkrótce nazwie tę wieś po swojemu.

Kiedy nadjechali jego ludzie, wszędzie dokoła rozległy się

piski i krzyki kobiet, dzieci, starszyny i kogo tam jeszcze, kto akurat był w domu w tej zapomnianej przez boga osadzie. Było tu około setki nieszczęśliwych duszyczek. McCloud postanowił, że każda z nich mu teraz zapłaci. Podniósł wysoko swój topór. Upatrzył sobie kobietę, która uciekała właśnie odwrócona do niego plecami, ze wszystkich sił próbując dotrzeć do swego domostwa, bezpiecznego w jej mniemaniu azylu, który miał się wkrótce okazać wszystkim, ale nie tym.

Topór McClouda uderzył ją w tylną część łydki, tak jak to było w jego zamyśle. Kobieta upadła z wrzaskiem. Nie chciał jej zabić: jedynie okaleczyć. Wszak chciał, aby żyła i dała mu rozkosz, jak już będzie po wszystkim. Wybrał ją starannie: miała długie, rozczochrane blond włosy, wąskie biodra i najwyżej osiemnaście lat. Będzie jego, a kiedy już z nią skończy, może wówczas ją zabije. Albo i nie; może zatrzyma ją, jako służącą.

Kiedy podjechał do niej bliżej, krzyknął z zachwytu i zeskoczył z konia zanim ten zdążył się zatrzymać. Wylądował na niej i przygniótł do ziemi. Przeturlał się z nią kilka razy amortyzując upadek i uśmiechnął się na myśl, jak dobrze było znowu poczuć pełnię życia.

Nareszcie życie znowu nabrało sensu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kendrick stał w samym oku cyklonu, na środku Galerii broni, otoczony z obu stron przez swych braci, zahartowanych w boju członków Srebrnej Gwardii i spoglądał ze spokojem na Darloca – dowódcę królewskiej straży wysłanego z tą godną pożałowania misją. Co też Darloc sobie myślał? Czy naprawdę wydawało mu się, że może ot tak wejść do Galerii broni i spróbować aresztować Kendricka – najbardziej uwielbianego członka rodziny królewskiej, na oczach wszystkich towarzyszy broni? Czy naprawdę myślał, że będą stali obok i pozwolą mu na to?

Nie docenił lojalności członków Gwardii wobec Kendricka. Nawet gdyby pojawił się tutaj z uzasadnionymi zarzutami – czym z pewnością nie były – i nakazem aresztowania, Kendrick wątpił i to bardzo, czy jego bracia pozwoliliby strażnikowi wywlec go z sali. Ich lojalność trwała na wieki, aż po grób. Takie było credo Srebrnej Gwardii. Zareagowałyby podobnie, gdyby któryś z jego braci stanął w obliczu zagrożenia. Wszak wszyscy razem trenowali, walczyli ramię w ramię i chronili swe życie.

Czuł napięcie, jakie panowało na sali w gęstniejącej z każdą chwilą ciszy. Wszyscy członkowie Gwardii trzymali swą broń w gotowości. A naprzeciw nich, przestępując z nogi na nogę, stał może tuzin królewskich strażników, czujących się coraz bardziej nieswojo. Musieli zdawać sobie sprawę, że jeśli któryś z nich

dobędzie miecza, to będzie masakra – i na szczęście nikt tego nie zrobił. Wszyscy stali i czekali na rozkazy swego dowódcy Darloca.

Darloc przełknął głośno ślinę. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Uświadomił sobie, że jego sytuacja była beznadziejna.

– Wygląda na to, że przyprowadziłeś ze sobą zbyt mało ludzi – powiedział spokojnym głosem Kendrick i uśmiechnął się. – Tuzin strażników przeciwko setce gwardzistów. Twoja przegrana.

Darloc oblał się rumieńcem na skądinąd bladej twarzy i odchrząknął.

– Mój panie, wszyscy służymy temu samemu królestwu. Nie mam zamiaru z tobą walczyć. Masz rację: tę walkę przegralibyśmy. Jeżeli rozkażesz, opuścimy salę i wrócimy do króla.

– Lecz wiesz, że Gareth wyśle więcej ludzi. Kogoś innego. I wiesz, jak to wszystko się skończy. Możesz zabić ich wszystkich – ale czy chcesz mieć krew braci na swoich rękach? Czy naprawdę chcesz doprowadzić do wojny domowej? Dla ciebie oni wszyscy zaryzykują życie, zabiją nas wszystkich. Lecz w jakim świetle ich to postawi?

Kendrick rozejrzał się i namyślił. Darloc miał rację. Nie chciał, aby któremukolwiek z jego braci stała się krzywda i to wyłącznie z jego powodu. Czuł przemożne pragnienie, by uchronić ich przed rozlewem krwi, bez względu na to, jaki

czekał go los. I jakkolwiek ohydny był jego brat Gareth, jakkolwiek złym był władcą, Kendrick nie chciał wywołać wojny w królestwie – a przynajmniej nie ze swojego powodu. Były inne sposoby. Zdążył się nauczyć, że bezpośrednia konfrontacja nie zawsze odnosiła największy sukces.

Powoli podniósł rękę, położył dłoń na wiszącym w powietrzu mieczu Atme i obniżył go ku ziemi. Odwrócił się do gwardzistów. Czuł przemożną wdzięczność, iż stanęli w jego obronie.

– Bracia gwardziści – powiedział. – Uniżenie dziękuję za waszą postawę. Zapewniam, że w pełni na nią zasługuję. Znamie mnie wszyscy i wiecie, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią mego ojca, naszego poprzedniego króla. Kiedy znajdę jego prawdziwego zabójcę, którego jak mniemam po naturze tych rozkazów już znalazłem, ja pierwszy dokonam zemsty. Oskarżono mnie niesłusznie. Lecz nie chcę być zarzewiem wojny. Więc proszę, opuście broń. Pozwolę im mnie zabrać bez walki, gdyż żaden mieszkaniec Kręgu nie powinien występować przeciwko innemu. Jeśli istnieje jeszcze sprawiedliwość, to prawda wyjdzie na jaw – i wkrótce z powrotem do was dołączę.

Powoli i z niechęcią członkowie Srebrnej Gwardii opuścili swe miecze, a Kendrick zwrócił się do Darloca. Podeszedł bliżej i razem z nim skierowali się w kierunku drzwi. Kendrick szedł dumnie wyprostowany po środku, w otoczeniu królewskich strażników. Darloc nie próbował nawet założyć mu kajdan – być może z poczucia szacunku, może strachu, a może dlatego, że

wiedział, iż Kendrick jest niewinny.

Kendrick sam podążył do swego nowego więzienia. Lecz nie podda się tak łatwo. W jakiś sposób oczyści swoje dobre imię, uwolni się z lochu – i zabije mordercę swojego ojca. Nawet jeśli okaże się, że to jego własny brat.

ROZDZIAŁ TRZECI

Głęboko w czeluściach zamku, Gwen i Godfrey stali przyglądając się Steffenowi, który przestępował z nogi na nogę i wykręcał ręce ze zdenerwowania. Był osobliwym człowiekiem – nie tylko dlatego, że jego ciało było zdeformowane, plecy wygięte i zgarbione, ale też wydawał się wiecznie spięty. Jego oczy ani na chwilę nie spoczęły w jednym miejscu. Ręce spletał wiecznie, jakby dręczyło go poczucie winy. Stał w miejscu bujając się raz w tę, raz w drugą stronę, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, i nucił coś do siebie gardłowym głosem. Gwen przeczuwała, że te wszystkie lata spędzone tutaj w odosobnieniu, wpłynęły na jego obecny, dziwaczny charakter.

Gwen czekała niecierpliwie, aż Steffen otworzy się przed nimi, ujawni, co stało się ich ojcu. Sekundy zamieniły się jednak w minuty. Brwi Steffena pokrył obfity pot, a mimo to kiwał się tylko dalej i nic z siebie nie wydusił. Cisza gęstniała z każdą chwilą, odmierzana jedynie jego nuceniem pod nosem.

Gwen poczuła, że i ją zaczyna oblewać pot. Był słoneczny gorący dzień, a do tego jeszcze na paleniskach buchał ogień. Chciała szybko się z tym uporać i opuścić to miejsce – i nigdy już tutaj nie wrócić. Zlustrowała Steffena wzrokiem, próbując odczytać cokolwiek z jego wyrazu twarzy, odgadnąć, co też kryje się w jego umyśle. Przysiękł, że coś im powie, lecz teraz zamilkł. Wyglądało na to, że namyślił się i zmienił zdanie. Widać

było, że czegoś się obawiał, że miał coś do ukrycia.

W końcu Steffen odchrząknął.

– Przyznaję, że coś spadło zsytem tamtej nocy – zaczął unikając ich wzroku, patrząc gdzieś na posadzkę – lecz nie wiem, co to było. Coś metalowego. Wynieśliśmy kubel ściekowy w nocy i usłyszałem, jak coś wpadło do rzeki. Coś nietypowego. Więc – powiedział odchrząknawszy kilka razy, wciąż wykręcając ręce – jak widzicie, czymkolwiek to jest, zostało dawno zabrane przez prąd rzeki.

– Jesteś tego pewien? – zażądał Godfrey.

Steffen skinął głową stanowczo.

Gwen i Godfrey wymienili spojrzenia.

– Czy przynajmniej przyjrzałeś się mu? – naciskał Godfrey.

Steffen potrząsnął głową.

– Lecz powiedziałeś, że to był sztylet. Skąd miałbyś to wiedzieć, jeśli go nie widziałeś? – spytała Gwen. Była pewna, że on kłamie; nie wiedziała tylko, dlaczego.

Steffen odchrząknął.

– Powiedziałem to, gdyż tak mi się wydawało – odparł. – Był to niewielki metalowy przedmiot. Cóż innego mogłoby to być?

– Sprawdziłeś na dnie kubła? – zapytał Godfrey. – Po tym, jak go opróżniłeś? Może nadal jest w kuble, może przywarł do dna?

Steffen potrząsnął głową przecząco.

– Sprawdziłem. Zawsze to robię. Nic tam nie było. Pustka. Czymkolwiek to było, zostało wypłukane. Widziałem, jak odpływa.

– Jeśli było zrobione z metalu, to jak mogło pływać? – spytała Gwen.

Steffen odchrząknął, potem wzruszył ramionami.

– Ta rzeka jest tajemnicza – odparł. – Ma silne prądy.

Gwen wymieniła sceptyczne spojrzenie z Godfreyem. Po jego wyrazie twarzy widziała, że on również nie wierzył Steffenowi.

Gwen była coraz bardziej zniecierpliwiona. Teraz dodatkowo ogarnęła ją konsternacja. Jeszcze chwilę temu Steffen był gotowy powiedzieć im wszystko, tak jak przyrzekł. Ale potem nagle zmienił zdanie.

Podeszła krok bliżej do niego i popatrzyła z gniewną miną wyczuwając, że ten mężczyzna coś przed nimi ukrywa. Przybrała najsroższą ze swych min, poczuła ojcowską siłę krążącą w jej żyłach. Była zdecydowana dowiedzieć się wszystkiego, co on wiedział – zwłaszcza jeśli miało to pomóc jej znaleźć zabójcę ojca.

– Kłamiesz – powiedziała lodowatym głosem. Moc kryjąca się za tonem jej głosu zdumiała nawet ją samą. – Wiesz, jaka kara czeka kogoś, kto kłamie członkowi rodziny królewskiej?

Steffen wykręcił jeszcze mocniej ręce i niemal podskoczył w miejscu, tam gdzie stał. Spojrzał na nią przez chwilę, po czym znów spuścił wzrok.

– Przepraszam – powiedział. – Wybaczcie, nic więcej nie wiem.

– Spytałeś nas wcześniej, czy oszczędzimy ci więzienia, jeśli powiesz nam, co wiesz – powiedziała. – Lecz nie powiedziałeś

nam nic. Po co miałbyś nas prosić o to, jeśli nie masz nam nic do powiedzenia?

Steffen oblizał wargi spoglądając cały czas w dół.

– Ja, ja... hm – zaczął i zamilkł. Odchrząknął. – Bałem się... że wpadnę w tarapaty, gdyż nie zgłosiłem wpadnięcia przedmiotu do kubła. To wszystko. Wybaczcie. Nie wiem, co to było, ale już tego nie ma.

Gwen zmrużyła oczy wpatrując się w niego i próbując przebić przez jego kłamstwa.

– Co dokładnie przydarzyło się twemu panu? – spytała, nie pozwalając mu ani na chwilę się odprężyć. – Powiedziano nam, że go nie ma, i że to ty masz coś z tym wspólnego.

Steffen potrząsał wciąż głową.

– Odszedł – odparł Steffen. – Tylko tyle wiem. Przepraszam. Nie wiem nic, co mogłoby wam pomóc.

Nagle dobiegł ich głośny szum. Odwrócili się i zobaczyli, jak ścieki spadają zsypem do kubła z plaśnięciem. Steffen odwrócił się i pobiegł przez izbę do kubła. Stał w jego pobliżu i obserwował, jak wypełniał się nieczystościami spływającymi z położonych wyżej komnat.

Gwen popatrzyła na Godfreya, a on na nią. Był równie zdumiony, co Gwen.

– Cokolwiek ukrywa – powiedziała – łatwo tego nie wyjawি.

– Możemy wtrącić go do lochu – powiedział Godfrey. Może to zachęci go do mówienia.

Gwen potrząsnęła głową.

– Nie sądzę. To nie ten typ. Łatwo zauważyć, że panicznie się czegoś boi. Myślę, że to ma coś wspólnego z jego panem. Wyraźnie targają nim jakieś sprzeczności. Nie uważam jednak, że dotyczy to śmierci naszego ojca. Myślę, że wie coś, co mogłoby nam pomóc – ale mam przeczucie, że dalsze przypieranie go do muru sprawi, że zamknie się na dobre.

– To co zrobimy? – spytał Godfrey.

Gwen zaczęła o tym myśleć. Przypomniała sobie jedną z jej przyjaciółek, kiedy jeszcze była mała i złapano ją na kłamstwie. Jej rodzice próbowali wydobyć z niej prawdę na różne sposoby, ta jednak poszła w zaparte. Dopiero kilka tygodni później, kiedy wszyscy dali jej już spokój, sama z siebie przyszła i wszystko wyjawiała. Gwen wyczuła, że Steffen miał podobny charakter, że zagonienie go w róg skończyłoby się jedynie jego milczeniem, iż potrzebuje przestrzeni, czasu, by samemu zdecydować, kiedy wyjawić prawdę.

– Dajmy mu trochę czasu – powiedziała. – Poszukajmy gdzie indziej. Zobaczymy, czy zdołamy dowiedzieć się czegoś jeszcze i potem tu wrócimy. Myślę, że się otworzy. Tylko nie jest jeszcze na to gotowy.

Odwróciła się i przyjrzała Steffenowi, który stał przy kubie i obserwował, jak ścieki wypełniają kubel. Była pewna, że doprowadzi ich do zabójcy ich ojca. Nie wiedziała jedynie w jaki sposób. Zastanawiała się, co skrywają jego myśli.

Był naprawdę osobliwym człowiekiem. Bardzo osobliwym.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Thor spróbował złapać oddech. Zamrugnął oczyma, by pozbyć się z nich nadmiaru wody. Był całkowicie przemoknięty. Woda przelewała się wokoło i wciskała do jego ust, nosa i uszu. Ześliznąwszy się po pokładzie na drugą stronę łodzi, przywarł do drewnianego relingu i trzymał ze wszystkich sił, a woda nieustępliwie próbowała wyrwać go z jego uchwytu. Wszystkie mięśnie drżały mu z wyczerpania. Nie wiedział, ile jeszcze zdoła wytrwać.

Pozostali chłopcy robili podobnie, trzymali się, czego popadnie, ile sił w rekach, starając się nie dać zmyć z pokładu. Jakoś to im się udawało.

Ryk wody był ogłuszający, a widoczność zmniejszyła się do zaledwie kilku stóp. Mimo, że był to letni dzień, woda była lodowata i przyprawiała go o ciarki, których nie mógł znieść. Kolk stanął na pokładzie i spojrzał na nich gniewnie z rękoma opartymi na biodrach. Niewzruszony ścianą deszczu, wrzeszczał na wszystkich.

– WRACAĆ NA MIEJSCA! – krzyczał. – WIOSŁOWAĆ!

Sam zajął miejsce przy jednym z wiosł i zaczął wiosłować. Chwilę później, ślizgając się po pokładzie, chłopcy rzucili się w kierunku wiosł. Serce Thora zabiło mocniej, kiedy puścił reling i z wysiłkiem brnął przez pokład. Schowany za koszulą Krohn miauknął, kiedy Thor pośliznął się i upadł z impetem na podłogę.

Resztę drogi pokonał czołgając się. Po chwili zasiadł na swoim miejscu.

– PRZYWIAZAĆ SIĘ! – wrzasnął Kolk.

Thor rzucił okiem pod ławkę i zobaczył splątane liny. W końcu dotarło do niego, do czego służyły: sięgnął po jedną i obwiązał nadgarstek, przykuwając się w ten sposób do wiosła i ławki.

Zadziałało. Przestał się ześlizgiwać. Wkrótce był w stanie też wiosłować.

Wszyscy wokół wrócili do wiosła. Reece usiadł przed nim. Ich łódź ruszyła z miejsca. Chwilę potem Thor zobaczył, że ściana deszczu rozjaśnia się przed nimi.

Wiosłował uparcie, skóra go piekła od tego dziwnego deszczu, a każdy mięsień dosłownie wył z bólu. W końcu dźwięk deszczu zaczął cichnąć. Thor czuł, że na jego głowę spada coraz słabszy strumień. Po chwili wypłynęli na wypełnione słońcem wody.

Thor rozejrzał się. Był w szoku. Była to najdziwniejsza rzecz, jaką do tej pory widział w swoim życiu: połowa łodzi błyszczała w słońcu, a druga tonęła w ulewie.

W końcu, zawieszone na czystym, niebiesko–żółtym niebie słońce, objęło swymi ciepłymi promieniami całą łódź. Zapanowała cisza. Deszczowa ściana znikła wkrótce z ich oczu i wszyscy popatrzyli na siebie ze zdumieniem. Poczuli się, jakby przeszli przez kurtynę do innego świata.

– SPOCZNIJ! – wrzasnął Kolk.

Wszyscy chłopcy puścili swe wiosła wydając z siebie jeden

zbiorowy jęk, dysząc i próbując złapać oddech. Thor czuł, jak każdy jego mięsień drży. Był wdzięczny za chwilę przerwy. Osunął się na miejsce, łapiąc oddech szeroko otwartymi ustami i próbował ulżyć swym mięśniom kompletnie się rozluźniając. Ich łódź kołysała się łagodnie na tych nieznanym mu wodach.

W końcu doszedł do siebie, wstał i rozejrzał się. Spojrzał w dół na wodę i stwierdził, że zmieniła kolor. Teraz miała jaskrawą, jasnoczerwoną barwę. Wpłynęli na zupełnie inne morze.

– Smocze Morze – powiedział Reece stojący obok i również spoglądający na wodę. – Powiadają, że jego kolor od krwi ofiar pochodzi.

Thor przyjrzał się wodzie jeszcze raz. Gdzieś tam wydobywały się na jego powierzchnię pęcherzyki powietrza, a w niewielkim oddaleniu pojawiały się co chwilę dziwne stworzenia. Żadne z nich nie zawisło w powietrzu na tyle, żeby zdążył przyjrzeć się mu dokładnie. Nie chciał jednak ryzykować i nachylać się niżej.

Thor odwrócił się i rozejrzał próbując pojąć to, co właśnie widział. Wszystko tutaj, po tej stronie deszczowej ściany wyglądało obco, było tak odmienne. W powietrzu, nisko nad wodą zawisała nawet delikatna czerwona mgła. Na horyzoncie natomiast widniały dziesiątki małych wysepek rozmieszczonych niczym kamienie w strumieniu.

Nagle podniósł się mocny wiatr i Kolk krzyknął:

– PODNIEŚĆ ŻAGLE!

Thor skoczył wraz z pozostałymi chłopcami do żagli, chwycił

linę i zaczął podciągać żagiel w górę, aż ten złapał wiatr. Wszystkie żagle wydeły się od wiejącej bryzy i ich łódź ruszyła szybko do przodu, wprost na widniejące na horyzoncie wysepki. Łódź kołysała się na wielkich falach, które napływały niewiadomo skąd, łagodnie unosząc się i opadając.

Thor poszedł na dziób, oparł się o reling i rozejrzał. Reece i O'Connor dołączyli do niego z obu stron. Stali przez dłuższą chwilę w ciszy, spoglądając na szybko zbliżające się wyspy. Chłodna bryza koła ich nadwyreżone ciała i pozwoliła się odprężyć.

W końcu Thor zauważył, iż płynęli w kierunku jednej z wysp. Z czasem rośla w jego oczach i poczuł chłód na myśl, że oto miał przed sobą cel całej wyprawy.

– Wyspa Mgieł – powiedział Reece z podziwem.

Przeglądał się jej w skupieniu. Powoli zaczął rozróżniać kształt – wyboisty, skalisty i jałowy. Rozciągała się na kilka mil w każdym kierunku, wydłużona i wąska, przypominała kształtem końską podkowę. Potężne fale rozbijały się o jej brzegi z grzmiotem słyszonym nawet z tej odległości. Woda uderzała z łoskotem w ogromne głazy i tryskała potężnymi kaskadami piany. Za nimi leżał niewielki skrawek lądu, nad którym górowały klify pnące się pionowo w górę hen wysoko. Thor nie mógł dostrzec żadnego miejsca, w którym ich łódź mogłaby bezpiecznie przybić do wyspy.

Osobliwość tego miejsca potęgowała dodatkowo czerwonawa mgła przykrywająca całą wyspę, niczym rosa iskrząca się w

słońcu. Wyspa emanowała złowieszczo czymś niehumanicznym i ziemskim.

– Powiadają, że leży tu niepokonana od milionów lat – dodał O'Connor. – Jest starsza od Kręgu. Starsza nawet od Imperium.

– Należy do smoków – nadmienił Elden podchodząc do Reece'a.

Nagle drugie słońce gwałtownie zniżyło się nad horyzontem, zamieniając słoneczny, jasny dzień niemal w mrok rozświetlany jego ostatnimi promieniami. Niebo nabrało czerwono-fioletowej barwy. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Nigdy jeszcze nie widział, żeby słońce poruszało się tak szybko. Zastanawiał się, czym jeszcze różniła się ta część świata od jemu znanego.

– Żyje tu jakiś smok? – spytał Thor.

Elden potrząsnął głową.

– Nie, ale słyszałem, że jakiś mieszka niedaleko stąd. Powiadają, że to jego oddech zabarwia tę mgłę na czerwono. W nocy jego oddech unosi się nad sąsiednią wyspą, a za dnia wiatr znosi go tutaj, pokrywając ją całkowicie.

Nagle usłyszał jakiś hałas. Na początku zabrzmiało to jak dudnienie, jak piorun, na tyle głośny i długotrwały, że potrząsnął całą łodzią. Krohn, który nadal chował się za jego koszulą, dał nura głębiej i zakwilił.

Wszyscy odwrócili się w kierunku, z którego nadbiegł ów dźwięk. Gdzieś na horyzoncie Thor dostrzegł niewyraźne kontury płomieni lizających zachodzące słońce, po czym ogień pochłonął czarny dym. Wyglądało to, jak wybuch niewielkiego

wulkanu.

– To smok – powiedział Reece. – Jesteśmy na jego terytorium. Thor przełknął ślinę. Zamyślił się.

– To jak my mamy tu być bezpieczni? – spytał O'Connor.

– Nigdzie nie jesteś bezpieczny – dobiegł ich donośny głos.

Thor odwrócił się na pięcie i zobaczył Kolka. Ręce oparł na biodrach i przyglądał się horyzontowi nad ich głowami.

– Na tym polega Rytuał, by każdy dzień przeżyć ryzykując swe życie. To już nie są ćwiczenia. Smok mieszka niedaleko i w każdej chwili może zaatakować. Prawdopodobnie tego nie robi, gdyż zazdrośnie strzeże skarbu na własnej wyspie. A smoki nie lubią pozostawiać swoich skarbów bez ochrony. Ale nieraz usłyszycie jego ryk i zobaczycie jego płomienie w nocy. A jeśli rozgniewamy go w jakikolwiek sposób, wszystko może się zdarzyć.

Thor usłyszał kolejne nisko brzmiące dudnienie. Znów też zobaczył płomienie na horyzoncie. Zbliżali się coraz bardziej do wyspy, a fale rozbijały się o nią z coraz głośniejszym łoskotem. Spojrzał na strzeliste klify, na tę ścianę z kamienia, i zaczął zastanawiać się, jak dotrą tam na szczyt, na suche równinne ziemie.

– Tylko nie widzę miejsca, gdzie moglibyśmy przybić – powiedział Thor.

– Nie ma tak łatwo – rzucił Kolk.

– To jak dotrzemy na ląd? – spytał O'Connor.

Kolk uśmiechnął się do niego złowieszczo.

– Popłyniecie.

Przez chwilę Thor myślał, że Kolk sobie żartował. Wkrótce jednak wyraz twarzy potwierdził jego słowa. Thor przełknął.

– Mamy płynąć? – spytał Reece z niedowierzaniem.

– Ależ to dopiero początek – kontynuował Kolk. – Te pływy są zdradzieckie, te wiry będą wciągać was na dno, te fale będą ciskać wami o postrzępione skały, woda jest gorąca, a jeśli uda się wam przedostać przez tamte skały, będziecie musieli znaleźć sposób na to, żeby wspiąć się na te klify i stanąć na suchym lądzie. Jeśli zdołacie najpierw umknąć morskim stworom. Witajcie w nowym domu.

Thor stał jak wrośnięty pośród innych chłopców przy burcie ich łodzi, spoglądając na spienioną wodę poniżej. Woda kłębiła się niczym jakieś żywe stworzenie, morskie pływy z każdą chwilą przybierały na sile, rzucając ich łodzią raz w tę, raz w tamtą stronę. Z ledwością utrzymywał równowagę. A poniżej woda przelewała się w szaleńczym tempie, kłębiła się bezustannie. Jej jasnoczerwona barwa wyglądała jak krew rodem z samych piekieł. Thor zauważył jednak, że najgorszą rzeczą w tym wszystkim były morskie stworzenia, które co chwilę podpływały do powierzchni wody, wystawiały głowy, kłapały paszczami i ponownie znikwały w czeluściach.

Nagle, ich łódź zarzuciła kotwicę, daleko od brzegu i Thor przełknął ślinę. Popatrzył na głązy stanowiące linię brzegową wyspy i zaczął zastanawiać się, jak mają pokonać tak wielką odległość wpraw. Huk rozbijających się fal rósł z każdą chwilą i

sprawał, że trzeba było krzyczeć, aby ktoś cię usłyszał.

Kilka mniejszych wiosłowych szalup opuszczono do wody, po czym zasiadający w nich dowódcy odpłynęli na dobre trzydzieści jardów od ich łodzi. Zbyt im tego nie ułatwiali: musieli popłynąć do nich wpław.

Na samą myśl o tym Thora skreśliło w żołądku.

– SKACZ! – krzyknął Kolk.

Pierwszy raz Thor poczuł strach. Pomyślał, czy nie umniejszyło to go, jako członka legionu, jako wojownika. Wiedział, że wojownik powinien przez cały czas pozostawać nieustraszony, ale musiał to przyznać: w tej chwili naprawdę zaczął się bać. Nienawidził tego uczucia. Chciał móc się nie bać. Lecz nie potrafił.

Rozejrzał się jednak dokoła po twarzach innych chłopców, przerażonych na równi z nim, i poczuł się lepiej. Wszyscy oni stali blisko przy burcie unieruchomieni strachem i spoglądali na wodę. Jeden z nich bał się aż tak bardzo, że zaczął się trząść. Był to ten sam chłopiec, który owego dnia bał się wykonać ćwiczenie z tarczą i musiał przebiec dodatkowe okrążenia.

Kolk musiał to wyczuć, gdyż podszedł wprost do niego, niewzruszony silnymi powiewami wiatru, które odrzucały jego włosy do tyłu. Szedł z grymasem na twarzy, wyglądając na gotowego stawić czoło największym siłom przyrody. Podszedł bliżej i spojrzał gniewnie na chłopca.

– SKACZ! – wrzasnął.

– Nie! – odparł chłopiec. – Nie mogę! Nie zrobię tego! Nie

umiem pływać! Zabierzcie mnie z powrotem do domu!

Kolk zbliżył się jeszcze bardziej do niego i kiedy chłopiec zaczął wycofywać się w głąb łodzi, chwycił za poły jego koszuli i podniósł go wysoko w górę.

– No to najwyższy czas żebyś nauczył się pływać! – warknął Kolk i rzucił chłopca do wody. Thor nie mógł w to uwierzyć.

Chłopiec poleciał w powietrze z krzykiem, przez dobre piętnaście stóp, i wpadł do wody z chlupotem. Po chwili wynurzył się na powierzchnię i wymachując rękoma próbował złapać powietrze.

– POMOCY! – krzyknął.

– Jakie jest pierwsze prawo legionu? – krzyknął Kolk zwróciwszy się do pozostałych chłopców na łodzi, całkowicie ignorując topielca.

Thor przypomniał sobie poprawną odpowiedź jak przez mgłę, lecz był zbyt zdenerwowany z powodu tonącego obok chłopca, żeby powiedzieć ją na głos.

– Pomagać braciom legionistom w potrzebie! – wrzasnął Elden.

– A ten jest w potrzebie? – zawył Kolk wskazując palcem na wodę.

Chłopiec wyrzucił ramiona nad głowę. Co chwila znikał i pojawiał się na powierzchni wody, a reszta chłopców gapiła się tylko na niego, zbyt przerażona by samemu wskoczyć do wody.

W tej chwili coś dziwnego stało się z Thorem. Próbuąc skupić się na tonącym chłopcu, wymazał ze świadomości wszystko inne.

Nie myślał już o sobie. Nawet nie przyszło mu do głowy, że sam może za chwilę zginąć. Morze, stwory, potężne fale... wszystko znikło. Wszystko, o czym w tej chwili myślał skupiało się na uratowaniu kogoś innego.

Wszedł na reling, ugiął nogi w kolanach i bez namysłu skoczył wysoko w powietrze, głową na przód, w bulgocące, czerwone wody poniżej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gareth siedział na tronie swego ojca w Sali Wielkiej, pocierając dłońmi smukłe, drewniane poręcze i obserwował rozgrywającą się przed nim scenę: tysiące poddanych przybyły ze wszystkich stron Kręgu i cisnęły się teraz w wielkim tłoku, chcąc uczestniczyć w niepowtarzalnym wydarzeniu, jakim była próba podniesienia Dynastycznego Miecza. Wszyscy oni pragnęli zobaczyć, czy to on okaże się Wybrańcem. Ostatni raz taka okazja zdarzyła się wiele lat temu, kiedy ojciec Garetha jako młody król próbował tego dokonać i nie było nikogo, kto nie chciałby tego zobaczyć tym razem. Podniecenie zawisło w powietrzu niczym chmura.

Oczekiwanie na tę chwilę otumaniło nawet Garetha. Obserwował, jak coraz więcej ludzi zbiera się przed nim, jak tłum gęstnieje z każdą chwilą i zastanawiał się. Może doradcy ojca mieli rację. Może rzeczywiście to był zły pomysł. Może nie powinien organizować tego wydarzenia w Sali Wielkiej. Ani pozwolić, żeby ci wszyscy ludzie byli tego świadkami. Gareth nie ufał jednak ludziom swego poprzednika. Bardziej wierzył w swoje przeznaczenie, niż w opinię popleczników swego ojca. Chciał, żeby całe królestwo było świadkiem jego czynu, potwierdzenia, że to on jest Wybrańcem. Chciał, żeby ten historyczny moment zapadł ludziom głęboko w pamięć. Ta chwila, w której objawiło się jego przeznaczenie.

Gareth wszedł do Sali z klasą, dostojnym krokiem w otoczeniu swoich doradców, z koroną na głowie i berłem w dłoni, przyodziany w królewską opończę. Chciał, żeby ci wszyscy ludzie zobaczyli, że to on, a nie jego ojciec, był prawdziwym królem, prawdziwym MacGilem. Zgodnie z jego oczekiwaniami, nie minęło dużo czasu by poczuł, że zamek należy do niego razem ze wszystkimi poddanymi. Chciał, aby wszyscy to teraz rozumieli, chciał im wszystkim dać pokaz swojej siły. Po dzisiejszym wydarzeniu będą wiedzieć z całą pewnością, że to on jest ich jedynym i prawdziwym władcą.

Teraz jednak, kiedy tak siedział na tronie i wpatrywał się w puste żelazne żerdzie na środku sali, na których miał spocząć miecz – oświetlony przez smugę światła wpadającą tu przez otwór w suficie, zabrakło mu pewności. Powaga czynu, którego miał się za chwilę dopuścić, przygniotła go do siedziska; miał zamiar zrobić coś nieodwołalnego, coś, od czego nie było odwrotu. A co jeśli rzeczywiście nie podoła? Próbował wyrzucić to ze swej głowy.

Wielkie drzwi po drugiej stronie sali otworzyły się ze skrzypnięciem. Gdzieniedzie rozległy się próby uciszenia podeksycytowanego tłumu i po chwili zapanowała pełna oczekiwania cisza. Do środka weszło z tuzin najsilniejszych mocarzy we dworze, niosąc między sobą miecz i uginając się od jego ciężaru. Sześciu mężczyzn z każdej strony stawiało powoli kroki jeden za drugim, kierując się w stronę żerdzi.

Serce Garetha przyspieszyło na ten widok. Przez krótką

chwilę zawahał się – jeśli tych dwunastu mężczyzn, największych, jakich do tej pory miał okazję widzieć, z ledwością utrzymywało miecz w powietrzu, to jaką on miał szansę? Znow odepchnął te myśli od siebie. Wszak miecz wiązał się z przeznaczeniem, a nie z siłą. I zmusił się by pamiętać, że to jego przeznaczenie sprowadziło go tutaj, to ono sprawiło, że był pierwotnym MacGila, że został królem. Poszukał wzrokiem Argona; z jakiegoś powodu poczuł nagłą chęć zasięgnięcia jego rady. W tej chwili potrzebował go najbardziej. Z jakiegoś powodu druid był jedyną osobą, która przychodziła mu teraz na myśl. Lecz oczywiście nigdzie go nie było.

W końcu tuzin osiłków dotarł na środek Sali Głównej, kładąc miecz w snopie słonecznego światła na żelaznych żerdziach. Opadł z dźwięcznym szcękaniem, który rozszedł się falami w pomieszczeniu. Zapadła całkowita cisza.

Tłum rozstąpił się instynktownie, tworząc przed Garethem alejkę biegnącą w kierunku miecza.

Gareth wstał z tronu powoli, rozkoszując się tą chwilą, delektując byciem w centrum uwagi. Czuł spojrzenia wszystkich skupione na nim. Wiedział, że podobna chwila nigdy więcej się nie wydarzy. Nigdy więcej całe królestwo nie będzie patrzeć na niego z takim natężeniem, tak absolutnie analizując każdy jego ruch. Przeżył tę chwilę w swoich myślach już wielokrotnie, poczynawszy od najmłodszych lat. I oto nadeszła. Chciał, by trwała jak najdłużej.

Zszedł po stopniach wiodących do tronu, zatrzymując się

na każdym z osobna, delektując każdą sekundą. Wszedł na czerwony dywan. Czuł jego miękkość pod swymi stopami. Zbliżał się do oświetlonego miejsca, do miecza. Wydawało mu się, że śni. Że idzie obok siebie. Jak gdyby pokonywał ten niewielki odcinek drogi już tysięczny raz, a miecz uniósł milion razy. We snach. Sprawiało to, że jego przekonanie o takim właśnie losie rośnie w nim z każdym krokiem, że wychodzi naprzeciw swemu przeznaczeniu.

Widział oczyma wyobraźni, jak to wszystko się potoczy: śmiało podejdzie do miecza, wyciągnie przed siebie jedną rękę, a kiedy jego poddani nachyłą się, by lepiej wszystko widzieć, podniesie miecz wysoko nad głowę w teatralnym geście. Wszyscy zareagują gwałtownym wdechem i rzucają się na twarz, obwołując go Wybrańcem, najważniejszym MacGilem spośród całej linii jego rodu, którym przyszło władać tym królestwem, tym, który miał rządzić już po wieki. Będą płakać z radości na jego widok. Będą kajać się przed nim ze strachu. Będą składać dzięki Bogu, że przyszło im dożyć tej chwili. Będą czcić go niczym boga.

Zbliżył się do miecza na odległość jednej stopy i czuł, że w środku cały dygoce. Kiedy wszedł na skrawek rozświetlony słońcem, piękno oręża sprawiło, że cofnął się pomimo tego, że widział je wielokrotnie. Nigdy wcześniej co prawda nie pozwolono mu zbliżyć się do miecza, dlatego też poczuł teraz zaskoczenie. Miecz sprawiał intensywne wrażenie. Jego długie, lśniące ostrze zrobiono z materiału, którego natury nikt jeszcze

nie odgadł. Miał bogato zdobioną rękojeść, otuloną wspaniałym, jedwabistym płótnem i wysadzaną różnorodnymi klejnotami oraz przyozdobioną sokolim herbem. Zbliżył się do niego jeszcze o krok i spojrzał z góry. Czuł emanującą z miecza potężną energię. Jakby pulsowała. Z wysiłkiem zaczerpnął oddechu. Już za chwilę miał go trzymać w dłoni. Wysoko nad głową. Błyszczący w słońcu. Widoczny dla każdego, dla całego świata.

On, Gareth, ten Wielki.

Wyprostował rękę i położył prawą dłoń na rękojeści. Powoli zacisnął wokół niej palce, wyczuwając każdy klejnot, każde zagłębienie. Czuł ożywienie. Intensywna energia popłynęła w górę jego ręki i rozlała się po całym jego ciele. Nigdy jeszcze nie czuł czegoś takiego. Ta chwila należała do niego. Po wieki.

Gareth nie chciał ryzykować: objął rękojeść również drugą ręką. Zamknął oczy i spłycił swój oddech.

Jeśli bogowie zezwolą, proszę dajcie szansę podniesienia tego miecza. Dajcie jakiś znak. Pokażcie, że to ja jestem królem. Pokażcie, że to ja mam rządzić.

Gareth modlił się po cichu, oczekując jakiejś odpowiedzi, jakiegoś znaku, nadejścia idealnej chwili. Sekundy mijały jednak jedna za drugą. Minęła dziesiąta, całe królestwo obserwowało go, ale nic nie usłyszało.

Wtem, nagle ujrzał twarz swego ojca, jego gniewne spojrzenie.

Gareth otworzył oczy z przerażenia, chcąc pozbyć się tego widoku ze swego umysłu. Jego serce waliło jak oszalałe. Czuł,

że to był zły omen.

Teraz albo nigdy.

Nachylił się i z całych sił spróbował podnieść miecz. Włożył w to wszystko, na co go było stać, jego ciało zaczęło się trząść, aż wpadło w konwulsje.

Miecz ani drgnął. Jakby próbował poruszyć podwoje całej ziemi.

Próbował coraz mocniej, coraz bardziej. W końcu jęknął i krzyknął z wysiłku.

Chwilę później osunął się na posadzkę.

Ostrze nie drgnęło ani o cal.

Kiedy upadł, w sali rozległ się okrzyk zdziwienia. Kilku doradców pospieszyło mu z pomocą, sprawdzając, czy z nim wszystko w porządku. Gareth odepchnął ich gwałtownie. Zażenowany wstał z powrotem na nogi.

Czuąc upokorzenie rozejrzał się po swych poddanych. Chciał zobaczyć, jak teraz będą go traktowali.

Zdążyli się już odwrócić i pojedynczo opuszczali Wielką Salę. Widział rozczarowanie na ich twarzach. Widział, że stał się dla nich kolejnym lichym widowiskiem. Teraz wszyscy wiedzieli, każdy z osobna, że nie był ich prawdziwym władcą. Nie był tym MacGilem, którego wybrało przeznaczenie. Był nikim. Jeszcze jednym królewiczem, który uzurpował sobie prawo do tronu.

Czuł, jak wstyd spala mu wnętrzności. Nigdy jeszcze nie czuł się tak samotny, tak odizolowany. Wszystko, o czym marzył jeszcze od swego dzieciństwa, okazało się kłamstwem. Iluzją.

Wierzył w swoją własną legendę.

I to go zdruzgotało.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gareth przemierzał swoją komnatę w tę i z powrotem. Jego umysł walczył z natłokiem myśli i szokiem spowodowanym porażką. Nie podniósł miecza i teraz próbował rozważyć konsekwencje. Nie mógł pojąć, że był na tyle głupi, by próbować podnieść miecz, Miecz Dynastii, którego żaden MacGil z jego siedmiu poprzedników nie był w stanie udźwignąć. Skąd w ogóle przyszło mu do głowy, że był lepszy od swych przodków? Dlaczego zakładał, że jest inny?

Powinien to wiedzieć. Powinien zachować ostrożność, nigdy nie przeceniać własnych możliwości. Powinien zadowolić się jedynie tronem po ojcu. Dlaczego musiał brnąć dalej?

Teraz wszyscy jego poddani wiedzieli, że nie jest Wybrańcem; teraz jego rządy do końca będą naznaczone tą skazą; teraz być może ich podejrzenia o jego udział w morderstwie króla nie będą już tak bezpodstawne. Widział, iż patrzyli teraz na niego w inny sposób, jakby był zjawą, jakby już teraz przygotowywali się na nadejście następnego króla.

Co gorsze, pierwszy raz w życiu Gareth zwątpił w samego siebie. Przez całe życie wyraźnie dostrzegał oznaki swego przeznaczenia. Był pewien, że ma zająć miejsce ojca, ma rządzić i dzierżyć Miecz. Jego pewność siebie została nagle całkowicie zdruzgotana. Już niczego nie był teraz pewien.

Najgorsze jednak było to, że ani na chwilę nie potrafił pozbyć

się ze swych myśli widoku twarzy ojca, tego, który ujrzał tuż przed próbą uniesienia miecza. Czy w ten sposób się na nim mścił?

– Brawo – dobiegł go czyjś sardoniczny głos.

Odwrócił się zaskoczony, że był tu ktoś jeszcze poza nim. Rozpoznał ten głos; głos, do którego przez te wszystkie lata zdążył się już przyzwyczaić i pogardzać. Głos jego żony.

Heleny.

Stała w odległym kącie komnaty i obserwowała go paląc swą fajkę z opium. Zaciągnęła się głęboko, przez chwilę wstrzymała w sobie, po czym wypuściła powoli. Jej oczy nabiegły krwią – od razu zorientował się, że paliła ją już zbyt długo.

– Co ty tutaj robisz? – spytał.

– Wszak tu jest moja małżeńska komnata – odparła. – Mogę tu robić, na co tylko przyjdzie mi ochota. Jestem twoją żoną i twoją królową. Nie zapominaj. Rządzę królestwem na równi z tobą. A po twoim dzisiejszym fiasku, słowa rządzą użyłabym w bardzo ogólnym znaczeniu.

Twarz Garetha zapłonęła czerwienią. Helena zawsze potrafiła zadać mu najsilniejszy cios i to w najgorszym możliwym momencie. Gardził nią bardziej niż jakąkolwiek kobietą w królestwie. Nie mógł uwierzyć, że zgodził się ją poślubić.

– Ach tak? – prychnął Gareth i zaczął iść w jej kierunku. Wszystko się w nim gotowało. – Zapominasz, że to ja jestem królem, ty dziewczko i że mogę wrzucić cię do lochu, jak każdego innego mieszkańca mego królestwa, bez względu na to, czy jesteś

moją żoną, czy nie.

Wyśmiała go szyderczym parsknięciem.

– I co potem? – warknęła. – Niech poddani zastanawiają się nad twoimi seksualnymi ciagotami? Nie, wątpię i to bardzo. Nie w świecie zaplanowanym przez Garetha. Nie w umyśle człowieka, który ponad wszystko ceni opinię innych osób o sobie.

Gareth zatrzymał się przed nią. Zrozumiał, że w jakiś sposób umiała przejrzeć go i to go denerwowało do żywego. Pojął jej groźbę i zdał sobie sprawę, że kłótnia z nią nie przyniosłaby niczego dobrego. Stał więc tak w ciszy, oczekując, z zaciśniętymi pięściami.

– Czego chcesz? – powiedział powoli próbując powstrzymać się od zrobienia czegoś pochopnie. – Przychodzisz do mnie tylko wtedy, kiedy czegoś chcesz.

Zaśmiała się drwiąco.

– Sama sobie wezmę to, czego chcę. Nie przyszłam tu prosić cię o cokolwiek. Raczej by coś ci powiedzieć: całe królestwo właśnie ujrzało twoją porażkę. W jakim świetle nas to stawia?

– Jak to nas? – spytał zastanawiając się, co się za tym kryło.

– Twoi poddani wiedzą już to, czego ja jestem świadoma od dawna – że jesteś nieudacznikiem. Że nie jesteś Wybrańcem. Składałam gratulacje. Teraz już potwierdziłeś to oficjalnie.

Objął ją gniewnym spojrzeniem.

– Mój ojciec również nie zdołał go unieść. Jednak nie powstrzymało go to przed skutecznym rządzeniem, przed byciem królem.

– Ale rzuciło się cieniem na całe jego panowanie – warknęła.
– Na każdy dzień.

– Jeśli przeszkadzają ci moje niedoskonałości – wycodził Gareth – to dlaczego się stąd po prostu nie wyniesiesz? Zostaw mnie samego. Porzuć tą parodię małżeństwa. Jestem teraz królem. Nie potrzebuję cię już więcej.

– Cieszę się, że poruszyłeś ten temat – powiedziała – ponieważ właśnie dlatego tu przybyłam. Chcę, abyś oficjalnie zakończył nasze małżeństwo. Chcę rozwodu. Jest pewien mężczyzna, którego kocham. Prawdziwy mężczyzna. Jeden z twoich rycerzy nawiasem mówiąc. Jest wojownikiem. Kochamy się, a nasza miłość jest prawdziwa. Niepodobna do żadnych, jakie do tej pory znałam. Rozwiedź się ze mną, abym nie musiała już ciągnąć tego w tajemnicy. Chcę, aby inni ludzie wiedzieli o naszym związku. I chcę zostać jego żoną.

Gareth patrzył na nią zaskoczony. Czuł pustkę. Jakby właśnie ktoś pchnął go sztyltem w pierś. Dlaczego akurat teraz wyszła ta sprawa z Heleną? Ze wszystkich możliwych chwil. Miał już dość wszystkiego. Czuł, że świat znęca się nad nim mimo tego, że on już leży.

Zdał sobie sprawę ze zdziwieniem, a nawet może wbrew sobie, że żywił do Heleny jakieś głębsze uczucie, gdyż usłyszawszy jej słowa, jej prośbę o rozwód, poczuł, jakby coś w nim pękło. Zdenerwowało go to. Doszedł do wniosku, iż wbrew sobie nie chciał tego rozwodu. Gdyby to wyszło od niego, to co innego. Lecz to ona wyszła z tym żądaniem, a to już zmieniało postać

rzeczy. Nie chciał, żeby sprawy potoczyły się po jej myśli. Nie chciał jej tego ułatwiać.

Przed wszystkim jednak, zastanawiał się jak rozwód wpłynie na jego władanie królestwem. Rozwiedziony król byłby pożywką dla zbyt wielu dociekań. I mimo wszystko, poczuł zazdrość o tego rycerza. Drażnił go też sposób, w jaki wytykała mu brak męskości. Zapragnął zemsty. Na nich obojgu.

– Nie dostaniesz go – warknęła. – Jesteś przywiązana do mnie. Utkwiłaś tu jako moja żona na wieki. Nigdy nie zwrócę ci wolności. A jeśli kiedykolwiek natknę się na tego rycerza, z którym mnie zdradzasz, wyślę go na tortury, a zaraz potem na szafot.

Helena warknęła w odpowiedzi.

– Nie jestem twoją żoną! A ty nie jesteś moim mężem. Nie jesteś nawet mężczyzną. Nasz związek jest bezbożny. Zawsze taki był, od samego początku. Zaaranżowany dla politycznych korzyści. Wzbudza we mnie jedynie odrazę – od zawsze zresztą. I zaprzepaścił moją jedyną szansę na prawdziwy ożenek.

Oddychała ciężko, a gniew widocznie w niej wzbierał.

– Dasz mi rozwód, bo inaczej wyjawię całemu królestwu, jakim jesteś mężczyzną. Sam decyduj.

To powiedziawszy odwróciła się i stanowczym krokiem opuściła komnatę, nie trudząc się nawet, aby zamknąć drzwi.

Gareth stał w kamiennej komnacie targany dreszczami, obserwując otwarte drzwi i słuchając echa jej kroków. Nie potrafił pozbyć się chłodu, który przenikał całe jego ciało. Czy

nie istniało już nic, co mogło dać mu poczucie stabilizacji?

Stojąc tak i trzęsąc się w dreszczach, zauważył ze zdziwieniem, że drzwiami wszedł ktoś inny. Ledwie zdążył zastanowić się nad swoją rozmową z Heleną, nad jej wszystkimi groźbami, kiedy pojawiła się aż nazbyt znajoma twarz. Firth. Jego zwyczajny sprężysty krok przepadł gdzieś. Wszedł do komnaty z wahaniem i miną winowajcy.

– Garethie? – zapytał niepewnie.

Firth patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma i Gareth z łatwością spostrzegł, jak ciężko mu było na sercu. I powinno, pomyślał. Wszak to Firth namówił go, aby spróbował unieść miecz, to on go w końcu przekonał do tego, wmówił mu, że jest kimś więcej. Gdyby nie podszepty Firtha, to kto wie? Być może w ogóle nie próbowałby podnieść miecza.

Gareth odwrócił się ku niemu ze wściekłością. W końcu znalazł kogoś, na kim mógł wyładować swój gniew. Poza tym, to Firth zabił jego ojca. To Firth, ten przygłupawy stajenny chłopiec, wpakował go w ten cały bałagan. Dzięki niemu był teraz jeszcze jednym zwyczajnym następcą tronu MacGilów.

– Nienawidzę cię – wysyczał Gareth. – I co mi teraz po twoich obietnicach? Twojej pewności, że udźwignę miecz?

Firth przełknął ślinę wyglądając na bardzo zdenerwowanego. Nie mógł wydusić z siebie słowa. Najwidoczniej nie miał nic do powiedzenia.

– Wybacz, mój panie – powiedział. – Myliłem się.

– Myliłeś się w wielu sprawach – warknął Gareth.

I rzeczywiście, im więcej Gareth o tym myślał, tym bardziej zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo Firth się mylił. W zasadzie, gdyby nie Firth, jego ojciec by żył teraz – a Gareth nie miałby tego bałaganu na głowie. Ciężar związany z rządzeniem spoczywałby teraz na kimś innym. Nie byłoby tych wszystkich rozczarowań i niepowodzeń. Zaczął tęsknić do tych chwil, kiedy wszystko było proste, kiedy nie był królem, kiedy jego ojciec żył. Zawładnęło nim nagłe pragnienie przywrócenia tego wszystkiego, żeby było jak za dawnych dni. Lecz było to niemożliwe. I za to wszystko winił Firtha.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał Gareth.

Firth odchrząknął wyraźnie zdenerwowany.

– Słyszałem... plotki... szeptania służących. Obiło mi się o uszy, iż twój brat i siostra zadają pytania. Widziano ich w pomieszczeniach dla służby. Przeszukiwali okolice wylotu zsypu w poszukiwaniu narzędzia zbrodni. Sztyletu, którego użyłem, by zabić twego ojca.

Gareth stanął jak wryty. Unieruchomiony szokiem i przerażeniem. Czy ten dzień mógł przynieść coś jeszcze gorszego?

Odchrząknął.

– I co znaleźli? – zapytał. W gardle mu zaschło i jego pytanie było ledwie słyszalne.

Firth potrząsnął głową.

– Nie wiem, mój panie. Wiem jedynie to, że mają jakieś podejrzenia.

Gareth poczuł przyptyw świeżej nienawiści do Firtha. Nigdy nie podejrzewał, że mógłby kogoś tak bardzo nienawidzić. Przecież gdyby nie niewydarzone zachowanie Firtha, gdyby pozbył się sztyletu w odpowiedni sposób, Gareth nigdy nie znalazłby się w tej sytuacji. Firth narażał go na niebezpieczeństwo.

– Powiem to tylko raz – odparł Gareth i podszedł bliżej do Firtha. Stał z nim twarzą w twarz i przywołał najsroźszą minę, na jaką potrafił się zdobyć. – Nigdy więcej nie chcę oglądać twojej twarzy. Rozumiesz? Wynoś się z mego życia i nigdy nie wracaj. Powierzę ci obowiązki daleko stąd, a jeśli kiedykolwiek twoja stopa stanie w tym zamku, bądź pewien, że zostaniesz aresztowany.

– A TERAZ WYNOŚ SIĘ! – wrzasnął Gareth.

Firth odwrócił się i z oczyma pełnymi łez wybiegł z komnaty, a echo jego kroków w korytarzu rozbrzmiewało jeszcze przez długą chwilę.

Gareth wrócił myślami do miecza, do swej porażki. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że oto wprowadził w ruch wydarzenia, które zakończą się jego klęską. Jakby właśnie zepchnął sam siebie z klifu i od tej pory mógł jedynie być świadkiem swego upadku.

Stał, niczym wrośnięty w posadzkę, w głuchej ciszy, wewnątrz komnaty swego ojca, trzęsąc się i zastanawiając, co on najlepszego zrobił. Nigdy wcześniej nie czuł się taki samotny, tak niepewny.

Czy właśnie tak powinien czuć się król?



Spiesznym krokiem, pokonując piętro za piętem Gareth pędził schodami w kierunku najwyższej wieży zamku. Musiał się przewietrzyć. Potrzebował czasu i miejsca, aby spokojnie pomyśleć. Chciał znaleźć się w miejscu, z którego rozpościerał się widok na jego królestwo, jego dwór, jego poddanych. Chciał znowu poczuć, że to wszystko należy do niego. Że mimo tych koszmarnych wydarzeń, był nadal królem.

Odprawił swoich służących i biegł sam, pokonując piętro za piętem, dysząc ciężko. Zatrzymał się na jednym i pochylił, by złapać oddech. Po jego policzkach ciekły łzy. Cały czas miał przed oczyma twarz ojca, utyskującego na każdym kroku.

– Nienawidzę cię! – krzyknął w powietrze.

Mógłby przysiąc, że w odpowiedzi usłyszał śmiech pełen drwiny. Śmiech jego ojca.

Musiał się stąd wydostać. Odwrócił się i znów zaczął biec, pędzić coraz szybciej, aż w końcu dotarł na sam szczyt. Wypadł przez drzwi na otwartą przestrzeń i poczuł na twarzy podmuch świeżego letniego powietrza.

Oddychał głęboko, łapiąc każdy haust powietrza, upajając się słonecznym światłem i ciepłą bryzą. Zdjął opończę, tę, która należała do jego ojca, i rzucił na posadzkę. Było zbyt gorąco – i nie miał zamiaru nosić jej nigdy więcej.

Podszedł do balustrady, przytrzymał się jej i, ciężko dysząc,

rozejrzał się po swym dworze. Dostrzegł niezliczone tłumy ludzi opuszczających zamek. Poddani opuszczali ceremonię. Jego ceremonię. Niemal czuł ich rozczarowanie, nawet z tej odległości. Wyglądali tak niepozornie. Zdumiał się, że rządził nimi wszystkimi.

Ale jak długo jeszcze?

– Z rządzeniem różnie bywa – dobiegł go pradawnie brzmiący głos.

Gareth odwrócił się na pięcie i ku swemu zaskoczeniu zobaczył Argona. Stał może stopę dalej, ubrany w białą szatę z kapturem, i w ręce trzymał swój pastorał. Wpatrywał się w niego z lekkim uśmiechem na ustach – którego jednak nie widać było w jego oczach. Te jarzyły się przeszywając Garetha na wskroś, sprawiając, że poczuł się niepewnie. Oczy druida dostrzegały zbyt dużo.

Tak wiele miał mu do powiedzenia, tyle pytań. Teraz jednak, kiedy nie udało mu się podźwignąć miecza, nie potrafił przypomnieć sobie ani jednego z nich.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – błagalnym, wręcz rozpaczliwym głosem spytał Gareth. Mogłeś powiedzieć, że nie było pisane mi go podnieść. Mogłeś oszczędzić mi tego wstydu.

– A dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał Argon.

Gareth zmarszczył brwi.

– Nie służysz królowi radą – odparł. – Doradziłbyś memu ojcu rzetelnie. Ale nie mnie.

– Być może na to zasługiwał – powiedział Argon.

Te słowa wzmogły jedynie odczuwaną przez Garetha wściekłość. Nienawidził tego mężczyzny. I obwiniał go o wszystko.

– Nie chcę cię widzieć w moim otoczeniu – powiedział . – Nie mam pojęcia, dlaczego mój ojciec wynajął ciebie, lecz ja nie chcę cię widzieć na królewskim dworze.

Argon zaśmiał się pustym, przerażającym śmiechem.

– Twój ojciec mnie nie zatrudnił, głupi chłopaku – powiedział. – Ani też jego ojciec przed nim. Moim przeznaczeniem było i jest być tutaj. W rzeczy samej, mógłbym powiedzieć, że to ja zatrudniłem ich.

Nagle postąpił o krok do przodu i spojrzał na Garetha tak, jakby widział jego duszę.

– Czy to samo można powiedzieć o tobie? – spytał Argon. – Czy takie jest twoje przeznaczenie?

Te słowa poruszyły Garetha do żywego, wywołały dreszcze na całym ciele. Dokładnie nad tym zastanawiał się Gareth od jakiegoś czasu. Pomyślał też, czy to nie była groźba.

– Kto przez krew na tronie zasiada, ten przez krew rządzić będzie – oświadczył Argon, po czym odwrócił się i zaczął odchodzić.

– Czekaj! – krzyknął Gareth. Już nie chciał, aby ten odszedł. Potrzebował odpowiedzi. – Co masz na myśli?

Gareth nie mógł pozbyć się wrażenia, że Argon próbował przekazać mu jakąś wiadomość, że nie będzie rządził zbyt długo. Musiał dowiedzieć się, czy akurat to druid miał na myśli.

Pobiegł za nim, ale kiedy już prawie go dogonił, Argon znikł sprzed jego oczu.

Odwrócił się, rozejrzał dokoła, lecz nic nie zobaczył. Usłyszał jedynie pusty śmiech rozlegający się gdzieś w powietrzu.

– Argonie! – wrzasnął.

Obrócił się ponownie, po czym spojrzał w górę na nieboskłon, opadł na jedno kolano, odrzucił głowę do tyłu i krzyknął:

– ARGONIE!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Erec wraz z księciem, Brandtem i liczną świtą podążali wijącymi się uliczkami Savarii, do miejsca, w którym mieszkała służka. Z każdą chwilą do ich grupy dołączali jacyś ludzie. Erec nalegał, aby umożliwić mu bezzwłoczne spotkanie z wybranką, a księżę chciał osobiście go do niej zaprowadzić. Tam zaś gdzie szedł księżę, tam też udawali się wszyscy. Erec rozejrzał się po rosnącym tłumie i poczuł zażenowanie. Kiedy dotrze do domu służki, towarzyszący mu ludzie wypełnią całą uliczkę.

Od momentu, kiedy ją ujrzał, Erec nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Kim była ta dziewczyna, która nosiła się po szlachecku, a mimo to pracowała jako służąca we dworze księcia? Dlaczego uciekła przed nim w takim pośpiechu? Dlaczego przez te wszystkie lata, kiedy poznawał wysoko urodzone panny, tylko ta jedna zawładnęła jego sercem?

Spędziwszy dużo czasu w towarzystwie wysoko urodzonych osób, samemu będąc synem rycerza, Erec potrafił rozpoznać takie osoby jednym spojrzeniem – i wyczuł to również w jej przypadku. Jej obycie więcej miało wspólnego z królewskim wychowaniem aniżeli z tym, czym teraz się zajmowała. Czuł palącą go ciekawość: kim była, skąd pochodziła i co tutaj robiła. Musiał spojrzeć na nią ponownie, sprawdzić, czy czegoś sobie nie wyobraził, czy nadal będzie czuł to samo.

– Moi słudzy donieśli, iż mieszka na obrzeżach miasta –

powiedział książę, idąc przed Erec'iem. Ludzie po obu stronach ulicy otwierali okna i przyglądali się pochodowi, zdziwieni obecnością księcia i jego świty w tym zwyczajnym miejscu.

– Wygląda na to, że jest służącą jakiegoś karczmarza. Nikt nie wie, skąd jest. Jedynie to, że przybyła do miasta pewnego dnia i podjęła pracę u tego karczmarza. Jej przeszłość, najwidoczniej, jest owiana tajemnicą.

Weszli w kolejną uliczkę, której brukowana powierzchnia nie była już tak równa, a domostwa stały bliżej siebie i były w opłakanym stanie. Książę odchrząknął.

– Przyjąłem ją na służbę w przypadku szczególnych okazji. Jest cicha i skryta. Nikt nic o niej nie wie, Erecu – powiedział książę, odwróciwszy się do niego i położywszy dłoń na jego nadgarstku. – Jesteś tego pewien? Ta kobieta, kimkolwiek by nie była, wywodzi się z pospólstwa. A ty możesz wybierać ze wszystkich kobiet w królestwie.

Erec spojrzał na niego równie intensywnie.

– Muszę ją znowu zobaczyć. Nieważne, kim jest.

Książę potrząsnął głową z dezaprobatą i poszedł dalej, skręcając z jednej uliczki w drugą, mijając wąskie i zawiłe alejki. Z każdą chwilą widok Savarii stawał się bardziej obskurny, na ulicach coraz częściej napotykali pijusów, pełne rynsztoki, kurczęta i na wpół dzikie psy uganiające za nimi. Mijali karczmy jedna za drugą, a krzyki biesiadujących w nich ludzi rozbrzmiewały hałaśliwie na ulicach. Przegonili kilku pijanych ze swej drogi, którą ze względu na zapadającą noc, oświetlały już

tylko pochodnie.

– Ustąpić drogi księciu! – wykrzykiwał idący na przedzie sługa i odpychał pijane pospólstwo na boki. Podejrzane typy odsuwały się i ze zdziwieniem przyglądały księciu i Erecowi.

W końcu dotarli do niepozornej karczmy, otynkowanej, pokrytej spadzistym dachem z łupkowej płytki. Z zewnątrz wyglądało na to, że karczma mogła pomieścić pięćdziesiąt klientów, a na górze miała kilka pokoi dla gości. Drzwi frontowe wisiały krzywo na zawiasach, jedno okno było zbite, a wisząca krzywo nad wejściem pochodnia rzucała nierówne światło dokoła. Z wewnątrz dochodziły okrzyki pijaków, które sprawiły, że pochód stanął w miejscu.

Jak to możliwe, żeby taka wspaniała dziewczyna pracowała w miejscu takim jak to? Zdziwił się Erec. Słyszając krzyki i gwizdy dochodzące z karczmy poczuł, że ogarnia go przerażenie. I serce niemal mu pękło, kiedy zdał sobie sprawę, jak niegodne warunki musiała znosić na co dzień. To niesprawiedliwe, pomyślał. Był zdecydowany ocalić ją, wyrwać z tego miejsca.

– Dlaczego musisz przybyć do najgorszego ze wszystkich miejsc, aby szukać swej żony? – spytał księżę i odwrócił się w stronę Ereca.

Brandt również spojrzał na niego.

– Ostanía szansa, przyjacielu – powiedział Brandt. – Na zamku czekają na ciebie zastępy najwspanialszych kobiet.

Lecz Erec potrząsnął głową. Już podjął decyzję. .

– Otwórzcie drzwi – rozkazał.

Jeden z książęcych sług podbiegł do nich i otworzył z rozmachem. Poczul zapach stęchłego piwa i aż go cofnęło.

Wewnątrz pijani mężczyźni siedzieli zgarbieni przy drewnianych stołach, przekrzykując się, śmiejąc, szydząc i popychając co chwila. Sami prostacy. Erec od razu to zauważył – ich opasłe brzuszyska, nieogolone policzki i brudne ubranie. Żaden z nich nie był wojownikiem.

Erec przeszedł kilka kroków na środek izby i przeszukał ją wzrokiem. Nie potrafił wyobrazić sobie, jak taka kobieta jak ona mogła tu pracować. Przyszło mu na myśl, że może trafili pod zły adres.

– Wybacz, panie. Szukam kobiety – powiedział do stojącego obok wysokiego, przysadzystego człowieka z wielkim brzuchem i zarostem na twarzy.

– Naprawdę? – odkrzyknął ten szyderczym tonem. – To źle trafiłeś! To nie burdel. Chociaż jest jeden po drugiej stronie ulicy. Słyszałem, że tamtejsze kobiety są urodziwe i pulchne!

I zaniósł się głośnym śmiechem, zbyt głośnym, prosto Erecowi w twarz. Kilku jego towarzyszy dołączyło do niego.

– Nie szukam burdelu – odparł Erec poważnym tonem – ale kobiety, która tu pracuje.

– To pewnie chodzi ci o służącą karczmarza – krzyknął ktoś inny, kolejny postawny, pijany mężczyzna. – Jest gdzieś na tyłach i szoruje podłogi. Wielka szkoda – wołałbym mieć ją tu, na moich kolanach!

Jego kompani wybuchnęli śmiechem zadowoleni ze swych

zartów, a Erec poczerwieniał na twarzy. Zrobiło mu się wstyd za nią i poniżenie tak wielkie, że nie potrafił go znieść – jak mogła obsługiwać te wszystkie typy?!

– A ty to kto? – odezwał się ktoś inny.

Na środek wystąpił mężczyzna najszerszy z nich wszystkich, z ciemną brodą i wyłupiastymi oczami, z niezadowoloną miną i szeroką szczęką. Za nim stanęło kilku innych obszarpańców. Miał więcej mięśni na sobie niż tłuszczu. Podszedł groźnie do Ereca, najwyraźniej nastawiony na walkę o swoje.

– Masz zamiar porwać moją służącą? – zażądał. – Wynocha!

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę z zamiarem schwytania Ereca.

Erec jednak, zahartowany przez te wszystkie lata treningów, najlepszy rycerz w królestwie, miał refleks, którego ten człowiek nie był sobie w stanie wyobrazić. W chwili, kiedy jego ręka dotknęła Ereca, rycerz zaatakował, chwycił go za nadgarstek, obrócił błyskawicznie, złapał za tylne poły jego koszuli i popchnął w poprzek izby.

Wielkolud poleciał niczym kula armatnia, zbijając z nóg kilku swoich towarzyszy jak kręgle.

W izbie zapanowała całkowita cisza. Wszyscy odwrócili się, żeby to zobaczyć.

– WALCZ! WALCZ! – zanucili zachęcająco.

Karczmarz stanął na nogi nieco zamroczony i natarł na Ereca z krzykiem.

Tym razem Erec zareagował od razu. Wyszedł do przodu

wprost na napastnika, podniósł ramię i wałnął łokciem w jego twarz, łamiąc mu nos.

Karczmarz zatoczył się do tyłu, po czym padł plecami na ziemię.

Erec podszedł do niego, podciągnął i mimo jego rozmiarów uniósł wysoko nad głowę. Zrobił kilka kroków i rzucił nim w powietrze w kierunku pijanych ludzi, ścinając połowę karczmy z nóg.

Wszyscy znieruchomieli. Przestali nucić, ucichli i zrozumieli, że oto pojawił się wśród nich ktoś wyjątkowy. Mimo tego barman natarł na niego z butelką trzymaną w ręce wysoko nad głową, mierząc dokładnie w Erec'a.

Erec spostrzegł to i jego ręka wystrzeliła po miecz – ale zanim zdążył go wyciągnąć, tuż obok pojawił się Brandt z dobytym zza pasa sztyletem i przyłożył go do szyi furiata.

Barman wbiegł prosto na niego i stanął jak wryty. Ostrze niemal przebiło mu skórę. Stał przerażony, gapiąc się wypukłymi oczami, z butelką zawisłą w pół ruchu. Karczma ucichła jak makiem zasiał.

– Rzuć to – rozkazał Brandt.

Mężczyzna uczynił to i butelka rozbiła się na podłodze.

Erec dobył swego miecza z dzwięcznym zgrzytem, podszedł do karczmarza, i przyłożył czubek broni do jego szyi.

– Powiem to tylko raz – oznajmił. – Wyrzuć stąd ten cały motłoch. Żądam rozmowy z tą dziewczyną. W cztery oczy.

– Księżę! – krzyknął któryś.

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi i nareszcie rozpoznali księcia w otoczeniu jego świty. Zdjęli czapki z głów i poczęli składać mu pokłony.

– Jeśli do momentu, w którym skończę mówić to pomieszczenie nie opustoszeje – oświadczył książę – wszystkich was zakuję w kajdany. I to natychmiast.

Izba przemieniła się w jedno wielkie kotłowisko. Każdy pomknął do wyjścia, omijając księcia i jego ludzi, pozostawiając niedopite butelki z piwem tak jak stały.

– Ty też znikaj – powiedział Brandt do barmana i nachylając się ze sztyletem, chwycił go za włosy i wypchnął za drzwi.

Izba, która jeszcze przed chwilą rozbrzmiewała okrzykami, stała teraz pusta, nie licząc Ereca, Brandta, księcia i tuzina jego ludzi, którzy zatrzasnęli za sobą drzwi z hukiem.

Erec zwrócił się do karczmarza siedzącego nadal na podłodze. Oszołomiony mężczyzna ścierał krew płynącą z nosa. Erec chwycił go za koszulę obiema rękoma, podniósł i posadził na jednej z pustych ław.

– Zaprzepaściłeś moje dzisiejsze dochody – jęknął karczmarz.
– Zapłacisz za to.

Książę podszedł do niego i zdzielił go ręką w twarz.

– Mogę rozkazać cię zabić chociażby za dotknięcie tego człowieka – powiedział gniewnym tonem książę. – Nie wiesz, kim on jest? To Erec, najlepszy rycerz króla, czempion Srebrnej Gwardii. Jeśli zechce, sam ciebie ukatrupi. Tu i teraz.

Karczmarz spojrzał na Ereca i po raz pierwszy na jego twarzy

pojawił się strach. Niemal zadygotał w miejscu, na którym siedział.

– Nie miałem pojęcia. Nie przedstawiłeś się.

– Gdzie ona jest? – zażądał zniecierpliwiony Erec.

– Na tyłach. Szoruje kuchenną podłogę. Co takiego masz do niej? Okradła cię? Jest tylko zwykłą służącą.

Erec wyciągnął sztylet i przyłożył go do gardła karczmarza.

– Nazwij ją tak jeszcze raz – ostrzegł Erec – i możesz być pewien, że poderżnę ci gardło. Rozumiesz? – spytał surowym tonem, cały czas trzymając sztylet u jego szyi.

Oczy mężczyzny wypełniły się łzami. Skinął powoli głową.

– Przyprowadź ją tutaj i to szybko – rozkazał Erec postawiwszy go na nogach i popchnął przez izbę w kierunku tylnych drzwi.

Kiedy ten zamknął za sobą drzwi, dobiegły ich dźwięki obijanych garnców, zdławione okrzyki i po chwili drzwi otworzyły się ponownie. Przed nimi stało kilka kobiet odzianych w łańchmany, fartuchy i czepki poplamione kuchennym tłuszczem. Trzy z nich były starsze, w wieku sześćdziesięciu kilku lat i Erec pomyślał przez chwilę, czy karczmarz miał pojęcie, do kogo przyszedł.

Wtem weszła do izby – a jego serce stanęło.

Nie mógł złapać oddechu. To była ona.

Miała na sobie poplamiony tłuszczem fartuch. Głowę trzymała nisko schyloną, zbyt zawstydzona, żeby podnieść wzrok. Włosy miała związane, schowane pod szmatą, policzki

pokryte zeschniętym brudem – a jednak na jej widok Erecą ścięło z nóg. Jej skóra była taka młoda, idealna. Miała wypukłe, wyraziste policzki i żuchwę, małeńki nos pokryty piegami i szerokie usta. Miała wysokie, charakterystyczne dla dobrze urodzonych, czoło. Jej śliczne blond włosy opadały zalotnie z czoła przez jedną, krótką chwilę. Jej wielkie, cudowne, migdałowe, zielone oczy na ułamek sekundy zmieniły barwę na krystalicznie niebieską i przykuły go do ziemi. Zorientował się, że jego pierwotna fascynacja była niczym w porównaniu z tym, co czuł w tej chwili.

Za nią do izby wszedł karczmarz. Nadal wycierał krew z nosa, a na jego twarzy widoczny był aż za dobrze grymas niezadowolenia. Dziewczyna wystąpiła naprzód niepewnie razem ze wszystkimi kobietami i dygnęła przed Erec'iem. Ten wstał, a za nim ludzie księcia.

– Mój panie – powiedziała łagodnym, słodkim głosem, który wypełnił jego serce po brzegi. – Powiedz proszę, co takiego uczyniłam, czym cię uraziłam. Nie wiem, co to było, ale przepraszam za wszystko, cokolwiek usprawiedliwiłoby obecność księcia i jego świty tutaj.

Erec uśmiechnął się. Jej słowa, jej mowa, dźwięk jej głosu – wszystko to przywracało go do życia. Chciał słuchać jej już zawsze.

Podniósł dłoń i dotknął jej policzka. Podniósł jej głowę i ich oczy spotkały się. Patrzył jej w oczy, a jego serce łomotało bez opamiętania. Jakby zatracił drogę na oceanie błękitu.

– Moja pani. Nie uczyniłaś nic, co mogłoby mnie urazić. Nie sądzę, że kiedykolwiek będziesz w stanie to zrobić. Przyszedłem tu nie z powodu złości – lecz miłości. Od momentu, w którym cię ujrzałem, o niczym innym nie potrafię myśleć.

Jego słowa wytrąciły ją z równowagi. Po chwili spuściła ponownie swój wzrok mrugając niespokojnie oczyma. Zaczęła wykręcać ręce ze zdenerwowania i zagubienia. Najwidoczniej nie nawykła do tego.

– Proszę, pani, powiedz. Jakie jest twoje imię?

– Alistair – odparła pokornie.

– Alistair – powtórzył Erec do głębi poruszony. Było to najpiękniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszał.

– Nie rozumiem jednak, dlaczego miałbyś chcieć je poznać – dodała miękkiem głosem, wciąż spoglądając na ziemię. – Ty jesteś panem, ja zwykłą służącą.

– Moją służącą, tak nawiasem mówiąc – powiedział karczmarz stając przed nią z paskudnym wyrazem twarzy. – Służy u mnie. Podpisała kontrakt lata temu. Siedem lat przyrzekła pracować. W zamian żywię ją i zapewniam nocleg. Mijają dopiero trzy lata, więc jak widzisz, wszystko na nic. Tracisz czas. Jest moja. Jest moją własnością. Nie zabierzesz jej stąd. Jest moja. Rozumiesz?

Erec poczuł do niego nienawiść większą, niż do jakiegokolwiek człowieka w swym życiu. Prawie wyciągnął miecz i wbił w jego serce, kończąc z nim w tej chwili. Jednak bez względu na to, jak bardzo karczmarz na to zasługiwał,

Erec nie chciał złamać królewskiego prawa. Wszak jego dzieła świadczyły o królu.

– Królewskie prawo jakie jest, każdy wie – powiedział do karczmarza. – Nie zamierzam wystąpić przeciw niemu. Jutro rozpoczyna się turniej. I mam prawo, jak każdy mężczyzna, wybrać swoją przyszłą żonę. I niechaj wszyscy tu zgromadzeni usłyszą, że wybieram Alistair.

W izbie rozległ się stłumiony okrzyk. Obecni popatrzyli po sobie zdumieni.

– Oczywiście – dodał Erec – jeśli się zgodzi.

Z mocno bijącym sercem spojrzał na nią. Wciąż stała ze spuszczoną głową. Zauważył jednak, że się zarumieniła.

– Czy zgadzasz się, pani? – spytał.

Zapanowała cisza.

– Mój panie – odparła łagodnie – nic nie wiesz o mnie, skąd pochodzę i dlaczego tu jestem. Obawiam się, że nie mogę ci tego wyjawić.

Erec spojrzał na nią zaintrygowany.

– A dlaczegoż to?

– Nie wyjawiałam tego nikomu od czasu mojego przyjazdu. Złożyłam przysięgę.

– Ale dlaczego? – naciskał z rosnącą ciekawością.

Alistair jednak milczała, wciąż patrząc na podłogę.

– To prawda – wtrąciła jedna ze służących. – Nigdy nie powiedziała nam, kim jest. Ani też dlaczego tu jest. Ciągłe milczy. Wiele razy już ją o to pytałyśmy.

Jego zdziwienie jedynie się pogłębiło – ale też dodało uroku jej tajemniczości.

– Jeśli nie mogę dowiedzieć się, kim jesteś, to niech tak zostanie – powiedział. – Uszanuję twoją przysięgę. W żaden sposób jednak nie wpłynie to na moje uczucia do ciebie. Pani, kimkolwiek jesteś, jeśli zwyciężę w turnieju, ciebie wybiorę jako moją nagrodę. Ciebie, ze wszystkich kobiet w całym królestwie. Pytam ponownie: czy zgadzasz się?

Alistair utkwiała jednak wzrok w podłodze. Wkrótce Erec zauważył, że po jej policzkach spływają łzy.

Nagle odwróciła się na pięcie i wybiegła z izby zatrzaskując za sobą drzwi.

Erec stał w ciszy wśród innych, równie zszokowany, co oni. Nie wiedział, jak miał rozumieć taką odpowiedź.

– Jak widzisz, marnujesz tylko czas, tak swój jak i mój – powiedział karczmarz. – Powiedziała nie. A teraz znikajcie stąd.

Erec zmarszczył brwi.

– Nie powiedziała nie – wtrącił Brandt. – Nic nie powiedziała.

– Ma prawo się zastanowić – powiedział Erec w jej obronie.

– Wszak wiele od tego zależy. A i ja jestem jej obcy.

Erec stał i rozmyślał nad tym, co robić.

– Zostanę tu na noc – powiedział w końcu. – Dasz mi izbę obok niej. Rano, przed turniejem, zapytam ją ponownie. Jeśli się zgodzi, a ja wygram zawody, zostanie moją żoną. Wówczas wykupię ją z terminowania u ciebie i opuścimy to miejsce raz na zawsze.

Karczmarz popatrzył na niego z niechęcią, lecz obawiał się powiedzieć cokolwiek. Wybiegł zatem z izby zatrzaskując za sobą drzwi z hukiem.

Erec pokiwał głową z powagą.

– W całym moim życiu nie było rzeczy, której byłbym bardziej pewny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Thor zanurkował w powietrzu niczym pocisk i wpadł głową w przód do wzburzonej wody Ognistego Morza. Zanurzył się cały i stwierdził z zaskoczeniem, że woda była gorąca.

Otworzył na chwilę oczy – i natychmiast tego pożałował. Ujrzał wszelakiej maści dziwaczne stworzenia morskie, małe i wielkie, z niezwykle i groteskowymi paszczami. Ocean obfitował w różnorakie formy życia. Zaczął modlić się o to, żeby zdążył dotrzeć do szalupy zanim go zaatakują.

Wyplynał na powierzchnię i gwałtownie zaczerpnął powietrza. Poszukał też natychmiast tonącego chłopca. Zauważył go w samą porę. Chłopiec coraz słabiej wymachiwał rękoma i wystarczyłaby jeszcze chwila, a utonąłby na pewno.

Thor podpłynął do niego od tyłu, chwycił za obojczyk i zaczął płynąć z nim, utrzymując jego głowę na powierzchni. Po chwili usłyszał pisk i jęk, odwrócił się i zszokowany zobaczył Krohna. Musiał wskoczyć za nim do wody. Teraz płynął obok pluskając i skomląc żałośnie. Thor poczuł się straszliwie, że narażał Krohna na takie niebezpieczeństwo – miał jednak obydwie ręce zajęte i nie mógł nic więcej zrobić.

Próbował nie rozglądać się wkoło, nie patrzeć na wzburzone, czerwone fale, na dziwne stwory, które co rusz pojawiały się na powierzchni i zaraz potem znikwały. Nagle jeden wyplynał tuż obok niego. Wyglądał ohydnie – fioletowy, miał dwie głowy

i cztery ramiona. Spojrzał na Thora, zasyczał i zanurzył się z powrotem pod powierzchnię, a Thor wzdrygnął się.

Odwrócił się i ujrzał szalupę około dwadzieścia jardów dalej. Zaczął płynąć w jej kierunku jak oszalały, młóćąc wodę wolną ręką i nogami, ciągnąc chłopca za sobą. Ten nadal wymachiwał rękami i krzyczał, opierając się wysiłkom Thora, który zaczął się obawiać, że chłopiec pociągnie go na dno ze sobą.

– Nie ruszaj się! – krzyknął szorstkim głosem Thor w nadziei, że chłopiec go posłucha.

I w końcu to zrobił. Thor natychmiast poczuł ulgę – i usłyszał plusk. Odwrócił się i zobaczył kolejnego stwora, małego z żółtą, kwadratową głową i czterema mackami. Podpłynął bliżej warcząc i trzęsąc się cały. Wyglądał podobnie do grzechotnika, tyle że żył w wodzie i jego łeb był o wiele bardziej kwadratowy. Thor przygotował się na ugryzienie, ale zamiast tego potwór rozwarł szczękę i chlusnął morską wodą w jego twarz. Thor zamrugał oczami próbując wypłukać ją z nich.

Stworzenie pływało wciąż dokoła nich, a Thor podwoił wysiłki. Płynął szybciej. Chciał wydostać się stąd jak najszybciej.

Thor zbliżał się coraz bardziej do szalupy, kiedy nagle po jego drugiej stronie pojawił się jeszcze jeden potwór. Był długi, wąski i pomarańczowy, z dwoma kleszczami wyrastającymi z jego paszczy i kilkunastoma niewielkimi odnóżami. Miał też długi ogon, którym zacinał na lewo i prawo. Wyglądał jak homar, który stanął na przeciwko Thora wyprostowany. Pomknął po

powierzchni wody niczym wodny robak, brzęcząc zbliżył się do Thora i smagnął go ogonem po ramieniu. Thor zawył z bólu.

Stworzenie śmigało wokół chłopców strzelając ogonem niczym batem. Thor żałował, że nie może teraz dobyć swego miecza i rozprawić się z potworem – lecz miał tylko jedną rękę wolną i potrzebował ją, by płynąć dalej.

Płynący tuż obok Krohn odwrócił się i warknął na stworzenie. Dźwięk wydany przez kota mógłby zjeżyć niejednemu włosy na głowie. Wystarczył, żeby potwór wystraszył się i czmychnął z powrotem w wodne czeluście. Thor odetchnął z ulgą – lecz potwór wypłynął po jego drugiej stronie i ponownie ciął swoim ogonem. Krohn zawrócił i zaczął gonić stwora, próbował złapać go kłapiąc szczęką, lecz chybiał za każdym razem.

Thor zaczął usilnie płynąć w kierunku szalupy. Zdał sobie sprawę, że jedynym sposobem, żeby wydostać się z tego całego bałaganu było wdrapanie się na nią. Po chwili, która wydawała się trwać wiecznie, umęczony bardziej niż kiedykolwiek w swym życiu, dotarł w pobliże kołyszącej się silnie szalupy. Dwóch chłopców, starszych od Thora, którzy nigdy nie zamienili z nim słowa, z nikim zresztą z jego rocznika, czekali już na niego. Nachylili się i wyciągnęli ręce w ich kierunku, za co w oczach Thora zasłużyli na uznanie.

Thor pomógł najpierw holowanemu chłopcu. Złapał go w pasie i podniósł do góry. Starsi chłopcy złapali jego ręce i wciągnęli na pokład.

Thor odwrócił się, chwycił Krohna za podbrzusze i jednym

zwinnym ruchem wrzucił go do szalupy. Kot pacnął głośno swymi czterema łapami o deski i zaczął ślizgać się po mokrym pokładzie. Ociekał wodą i cały się trząsał. Ślizgiem pojechał w poprzek szalupy, po czym odbił się i szybko podbiegł do krawędzi szukać Thora. Stał tak, wpatrywał się w wodę i skomlał.

Thor złapał ręce chłopców i zaczął się już podciągać, kiedy nagle poczuł, jak coś silnego i muskularnego owija się wokół jego kostki i uda. Odwrócił się i spojrzał w dół. Jego serce stanęło na moment. Zobaczył zielonożółte stworzenie podobne do kałamarnicy, które owijało jego nogę jedną ze swych macek.

Thor wrzasnął z bólu, kiedy poczuł, jak mackowe szpile wrzynają się w jego ciało.

Zorientował się, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, to będzie po nim. Sięgnął wolną ręką po krótki miecz tkwiący za jego pasem, nachylił się i zaczął siekać mackę. Była jednak zbyt gruba. Jego miecz nawet nie przebił skóry.

Za to rozzłościł stwora. Wynurzył się nagle w całej okazałości – zielony, bez oczu, z dwoma szczękami na długiej szyi umieszczonymi jedna na drugiej – otworzył paszczę pełną ostrych niczym brzytwa zębów i nachylił się nad Thorem. Thor czuł, jak krew spływa mu po nodze. Wiedział, że musi działać szybko. Mimo, że chłopcy robili, co mogli, by go wciągnąć, jego uchwyt wyslizgiwał im się z rąk i Thor zaczął osuwać się do wody.

Krohn skomlał wniebogłosy, ze zjeżonym grzbietem i

nachylał się nad wodą, jakby chciał do niej wskoczyć za chwilę. Ale nawet on musiał przeczuwać, iż nie miał szans w walce z tym potworem.

Jeden ze starszych chłopców zbliżył się i krzyknął:

– PADNIJ!

Thor spuścił głowę, a chłopiec cisnął w stwora włócznią. Świsnęła w powietrzu, jednak nie trafiła, przeleciała niegroźnie obok i utonęła. Stwór był zbyt giętki i zbyt szybki.

Nagle Krohn wyskoczył w powietrze i wylądował z otwartą szczęką najeżoną ostrymi zębami na tułowi stwora. Zacisnął szczękę i zaczął szarpać raz w tę, raz w drugą stronę, nie puszczając ani na chwilę.

Ale jego walka była z góry przesądzona: skóra stworzenia była zbyt twarda, zbyt umięśniona. Otrząsnął się kilka razy i wkrótce Krohn poleciał do wody. W międzyczasie, jego uchwyt na nodze Thora zacieśnił się jeszcze bardziej niczym imadło. Chłopiec poczuł, że zaczyna brakować mu tchu. Miejsce, w którym macka owinęła jego nogę piekło niemiłosiernie i Thor pomyślał, że za chwilę potwór po prostu urwie mu nogę.

Ostatkiem sił sięgnął do pasa po miecz, puściwszy rękę starszego chłopca, obrócił się i w tej samej chwili schwytał rękojeść swojej broni.

Nie zdążył jednak; ześliznął się, obrócił i wpadł do wody.

Czuł, że stworzenie odciąga go od szalupy w kierunku otwartego morza. Odpływał odwrócony głową do tyłu coraz szybciej i szybciej, wymachując rękoma, a szalupa szybko

znikła z pola widzenia. Następną rzeczą, którą zapamiętał było wciąganie pod wodę, głęboko w czeluście Ognistego Morza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gwendolyn biegła przez łąkę wraz ze swoim ojcem królem MacGilem. Była młodsza, miała może z dziesięć lat, a i jej ojciec był o wiele młodszy. Miał krótką brodę bez jakichkolwiek oznak siwizny, która posypała się w późniejszych latach jego życia, żadnych zmarszczek, młodą i błyszczącą skórę. Był szczęśliwy, beztroski i śmiał się z radością biegnąc przy niej i trzymając jej dłoń. Takiego ojca pamiętała, takim go знаła.

Podniósł ją i zarzucił na bark. Zaczął kręcić się razem z nią dokoła, śmiać się coraz głośniejsze, a ona chichotała bez opamiętania. Czuła się taka bezpieczna w jego ramionach, chciała, aby ta chwila trwała wiecznie.

Kiedy ojciec postawił ją na ziemi stało się jednak coś dziwnego. Nagle słoneczny dzień zmienił się w zmierzch. Kiedy jej stopy dotknęły ziemi, nie musnęły ich łąkowe kwiaty, lecz błoto, które sięgnęło do kostek. Jej ojciec leżał w nim na plecach kilka stóp dalej. Był starszy, o wiele starszy. Najwyraźniej utkwiał w mokrej ziemi. Jeszcze dalej ujrzała jego koronę leżącą w błocie i skrzącą się.

– Gwendolyn – wyjęczał. – Córkó moja. Pomóż mi.

Wyciągnął rękę z błota i sięgnął w jej kierunku w rozpaczliwym geście.

Poczuła nagłą potrzebę służenia mu pomocą i próbowała podejść do niego, uchwycić jego dłoń. Lecz jej nogi ani drgnęły.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że błoto twardnieje wokół jej stóp, wysycha i pęka. Wierciła się i wyginała chcąc uwolnić się z pułapki.

Zamrugła oczyma i oto stała przy balustradzie zamku, spoglądając w dół na królewski dwór. Coś było nie tak: nie widziała zwyczajowego przepychu i fety, lecz rozległe cmentarzysko. Tam, gdzie kiedyś błyszczał splendor królewskiego dworu, teraz leżały świeże mogiły – hen, jak okiem sięgnąć.

Usłyszała szuranie czyichś stóp i obróciwszy się poczuła, że jej serce stanęło. W jej kierunku skradał się, odziany w czarny płaszcz z kapturem, skrytobójca. Skoczył w jej kierunku. Jego kaptur opadł i jej oczom ukazała się groteskowa twarz pozbawiona jednego oka, w miejscu którego widniała gruba poszarpana blizna. Warknął, uniósł dłoń, a w niej lśniący sztylet z żarzącą się na czerwono rękojeścią.

Poruszał się zbyt szybko i Gwen nie zdążyła zareagować na czas. Zebrała się w sobie wiedząc, że za chwilę umrze, widząc jak zabójca z całą siłą opuszcza sztylet w dół.

Nagle ostrze zatrzymało się w powietrzu, kilka cali od jej twarzy. Otworzyła oczy i spostrzegła swego ojca, trupa, który chwycił nadgarstek zabójcy w połowie drogi. Zaczął ścisnąć jego rękę, aż wypuścił sztylet, po czym podniósł go w powietrze i wyrzucił przez balustradę. Gwen słyszała jego oddalający się wrzask. Ojciec mocno chwycił jej ramiona swymi rozkładającymi się rękoma i spojrzał na nią poważnym

wzrokiem.

– Nie jesteś tu bezpieczna – ostrzegł. – Nie jesteś bezpieczna!
– zawołał a jego ręce wpijały się w jej ciało coraz mocniej, aż krzyknęła.

Obudziła się z krzykiem. Usiadła wyprostowana na łożu i rozejrzała po całej komnacie spodziewając się napastnika.

Nic jednak nie zauważyła. Otaczała ją jedynie cisza – głucha, jednostajna, zwiastująca świt cisza.

Spocona i zdyszana, wyskoczyła z łóżka, nałożyła nocną, koronkową podomkę i zaczęła chodzić nerwowo po komnacie. Podeszła do niewielkiej, kamiennej misy i spryskała twarz wodą raz po raz.

Oparła się o ścianę. Bosymi stopami wyczuła chłód idący od kamiennej posadzki w ten ciepły, letni poranek i próbowała wziąć się w garść.

Jej sen był zbyt rzeczywisty. Odnosiła wrażenie, że był czymś więcej – prawdziwym ostrzeżeniem od ojca, wiadomością. Zapragnęła opuścić królewski dwór jak najszybciej, teraz, już i nigdy tu nie wracać.

Wiedziała, że nie może tak postąpić. Musiała dojść do siebie, zebrać myśli. Za każdym razem jednak, kiedy mrugnęła oczami widziała twarz swego ojca, czuła jego ostrzeżenie. Musiała coś zrobić, żeby otrząsnąć się z tego snu.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że pierwsze słońce właśnie wstawało nad horyzontem. Przyszło jej na myśl jedyne miejsce, które mogło pomóc odzyskać spokój: królewska rzeka. Tak,

musiała tam iść.



Zanurzała się co chwilę w lodowatej wodzie źródeł królewskiej rzeki, trzymając się za nos i nurkując głową pod jej powierzchnią. Siedziała w niewielkim, utworzonym przez naturę basenie, wrytym w skałę i ukrytym tuż przy górnych źródłach, które znalazła będąc dzieckiem, i które od tamtej pory często odwiedzała. Wsadziła głowę pod wodę i pozostała w tej pozycji, czując, jak zimne prądy przemywają jej włosy i skórę, oczyszczają jej nagie ciało.

Było to ustronne, ukryte wśród kępy drzew, położone wysoko u szczytu góry zagłębienie, które powstało dzięki temu, iż prąd rzeczny zwalniał tu i tworzył głęboką nieckę ze stojącą niemal wodą. Z góry woda napływała powoli, u dołu wypływała w tym samym tempie – w tym miejscu jednak rzeczny prąd był ledwie wyczuwalny. Niecka była głęboka, kamienie wygładzone, a to miejsce tak odosobnione, że mogła dowoli kąpać się nago. Przychodziła tu prawie w każdy letni poranek, wraz z pierwszymi promieniami słońca, by oczyścić swój umysł. Zwłaszcza zaś w takie dni, jak dzisiaj – kiedy prześladowały ją sny, co nazbyt często się zdarzało – to miejsce było jej jedynym schronieniem.

Gwendolyn nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy to był tylko sen, czy też coś więcej? Skąd miała wiedzieć, że sen przynosi jakąś wiadomość, jest jakimś znakiem? Skąd miała wiedzieć,

czy to jej wyobraźnia płata figle, czy też powinna podjąć jakieś działanie?

Wynurzyła się, by nabrać ciepłego, letniego powietrza, a wszędzie wokół ćwierkały ptaki. Oparła się o skałę, zanurzona po szyję w wodzie, siedząc na naturalnym skalnym występie i rozmyślała. Nabrała wody w dłonie i opłukała twarz, po czym przeczesła palcami swoje długie, truskawkowoblond włosy. Spojrzała na powierzchnię krystalicznie czystej wody, w której odbijało się niebo i drugie słońce, które właśnie zaczynało swoją wędrówkę po nieboskłonie, gałęzie drzew zwisających nad wodą i jej własna twarz. Jej migdałowe oczy jarzące się na niebiesko spoglądały na nią z pomarszczonej tafli wody. Widziała w nich coś z jej ojca. Odwróciła się i niedawny sen znów przyszedł jej na myśl.

Wiedziała, że jej dalszy pobyt na królewskim dworze był niebezpieczny w związku z zabójstwem ojca, obecnością wszystkich szpiegów, spisków – a zwłaszcza z Garethem u władzy. Jej brat był nieprzewidywalny. Mściwy. Szalony. I bardzo, ale to bardzo zazdrosny. Każdego postrzegał jako zagrożenie – a przede wszystkim ją. Wszystko mogło się zdarzyć. Wiedziała, że nie jest tu bezpieczna. Nikt nie był.

Lecz nie należała do tych, co uciekają z byle powodu. Musiała upewnić się, kim był zabójca jej ojca, a jeżeli okazałoby się, że to Gareth, nie wyjedzie stąd, zanim nie postawi go przed obliczem sprawiedliwości. Wiedziała, że duch ojca nie spocznie, póki jego morderca nie zostanie schwytany. Sprawiedliwość

stała u podstawy całego jego życia i to on, ze wszystkich ludzi, zasługiwał na nią po śmierci.

Przypomniła sobie o swym spotkaniu ze Steffenem. Była pewna, że coś ukrywa i zastanawiała się, co to mogło być. Czuła również, że otworzy się przed nią w swoim czasie. Lecz jeśli nie? Czuła nagłą potrzebę znalezienia zabójcy ojca – ale nie wiedziała, gdzie jeszcze mogłaby szukać odpowiedzi.

W końcu wstała ze swego miejsca w wodzie, wdrapała się na brzeg, naga i trzęsąca z porannego zimna, schowała za grubym pniem i sięgnęła po ręcznik wiszący jak zwykle na gałęzi.

Jednak ze zdumieniem odkryła, że jej ręcznika tam nie było. Stała tak, naga i trzęsąca się i próbowała zrozumieć, co się stało. Była pewna, że powiesiła go tam jak zwykle.

Skonsternowana i zziębnięta już teraz, nagle wyczuła za sobą jakiś ruch. To stało się tak szybko – jak rozmyta plama – i chwilę potem jej serce stanęło. Zorientowała się, że tuż za nią był jakiś mężczyzna.

Dalej wszystko potoczyło się zbyt szybko. Mężczyzna w czarnej szacie z kapturem, dokładnie taki, jak w jej śnie, pojawił się za nią, chwycił od tyłu i kościstą łapą zatkał jej usta, uciszając jej krzyki i przygważdżając ją do siebie. Drugą ręką złapał ją w pasie, pociągnął mocno i przewrócił na ziemię.

Wierzała nogami próbując krzyczeć, dopóki nie przygniótł jej wciąż trzymając ją w silnym uścisku. Próbowała się z niego wyrwać, ale napastnik był zbyt silny. Sięgnął za siebie i Gwen zauważyła w jego ręce sztylet z czerwoną rękojeścią – taki sam,

jak w jej śnie. A jednak, jej sen okazał się ostrzeżeniem.

Poczuła ostrze mocno przyciśnięte do szyi. Trzymał je tak mocno, że każdy jej ruch przeciąłby jej gardło. Łzy popłynęły jej po policzku, kiedy próbowała złapać oddech. Była wściekła na samą siebie. Była taka głupia. Powinna mieć się na baczności.

– Rozpoznajesz moją twarz? – zapytał mężczyzna.

Nachylił się nad nią i poczuła jego gorący, ohydny oddech na swoim policzku. I zobaczyła go z profilu. Jej serce stanęło – to była ta sama twarz, co w jej śnie. Ten sam mężczyzna bez oka, za to z blizną.

– Tak – powiedziała trzęsącym się głosem.

Znała tę twarz i to aż za dobrze. Nie знаła jego imienia, lecz wiedziała, że był łotrem. Typ z nizin społecznych, jeden z kilkunastu, którzy uczepili się Garetha od jego najmłodszych lat. Był jego pośłańcem. Wysyłał go do każdego, kogo chciał nastraszyć – lub zadręczyć, albo zabić.

– Jesteś psem mojego brata – wysyczała wyzywająco.

Uśmiechnął się pokazując braki w uzębieniu.

– Jestem jego pośłańcem – powiedział. – I przynoszę wiadomość razem z czymś, co pomoże ci ją zapamiętać. Jego wiadomość do ciebie dzisiaj brzmi: przestań zadawać pytania. Popamiętasz to, gdyż kiedy już z tobą skończę, blizna na twojej pięknej buźce będzie ci o tym przypominać przez całe życie.

Prychnął, po czym uniósł sztylet wysoko i zaczął opuszczać go w stronę jej twarzy.

– NIE! – wrzasnęła Gwen.

Zebrała się w sobie przygotowując na cięcie, które miało zmienić jej życie na zawsze.

Kiedy jednak ostrze opadało, coś się stało. Nagle usłyszeli krzyk ptaka, który runął na mężczyznę prosto z nieba. Zdążyła zerknąć i rozpoznała go w ostatniej chwili:

Estopheles.

Zanurkowała z rozwartymi pazurami i jęła rozdrapywać twarz napastnika w chwili, kiedy ten opuszczał sztylet. Ostrze musnęło policzek Gwen, wywołując piekący ból i osunęło się w bok. Mężczyzna wrzasnął, upuścił sztylet i podniósł ręce do twarzy. Gwen ujrzała rozbłysk białego światła na niebie, promienie słońca przedzierające się przez gałęzie i kiedy Estopheles odfrunęła, Gwen wiedziała, że to ojciec wysłał sokoła na pomoc.

Nie marnowała czasu. Odwróciła się, wzięła zamach i zgodnie z tym, czego nauczili ją tutorzy, kopnęła napastnika ze wszystkich sił w splot słoneczny. Swoją bosą nogą trafiła idealnie do celu. Mężczyzna załbał od siły uderzenia jej nogi. Od najmłodszych lat wpajano jej, że nie trzeba być silnym, aby odeprzeć napastnika. Wystarczyło, żeby użyła swoich najsilniejszych mięśni – swoich ud. I dobrze wymierzyła cios.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.